

Rok VI.
Kraków, dnia 17 listopada 1912 r.
Nr. 46.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6. Telefon nr. 2346

Człowiek a tytuł.

Pięknie brzmiący tytuł, jeśli nie usprawiedliwia go szlachetność, rozum i uczciwość nie wzbudza szacunku i zaufania. Tytuł to szata zewnętrzna; wartość moralna człowieka stanowi o tem, czy mu się szacunek należy. Ludzie dzisiejsi pilnie baczą, co się kryje pod mundurem i dostojeństwem, tytułem, majątkiem, za jakie zasługi nadane jest dostojeństwo, dlaczego wzniesiono kogoś na wysokie stanowisko. Poważamy jenerała, ponieważ odznaczył się na polu chwały, profesora, ponieważ jest pierwszorzędnym uczonym, ministra, męża stanu, ponieważ jest wielkim obywatelem, dbałym o dobro ojczyzny.

Rządzenie ludźmi drogą gwałtów stało się już przeżytkiem. Dowód stanowią tu rządy rosyjskie, które już po nadaniu konstytucyi pozostały tak samo prześladowczemi dla Polaków i katolików jak i przedtem. Takie rządy trwałego ugruntowania znaleźć nie mogą, bo budzą nienawiść uciśnionej ludności. Trwałymi i dobroczynnymi są tylko rządy poparte przez opinię publiczną, które umieją pozyskać szacunek ludności. Z chwilą, kiedy ludność przestaje szanować swoich kierowników, źle się zaczyna dziać w kraju. Ludność musi kogoś szanować za prawdziwe, nie urojone zasługi.

Czcimy pamięć księcia Józefa Poniatowskiego za jego waleczność, miłość ojczyzny, zasługi na polach bitew, nie za tytuł książęcy. Jego stryj, król Stanisław August, za którego Polskę rozebrano, nie wzbudzał i nie wzbudza w nas szacunku. Gdyby Józef Ignacy Kraszewski, znakomity pisarz polski, miał tytuł hrabiego, czcilibyśmy jego pamięć nie za tytuł hrabiowski, lecz za zasługi wielkiego obywatela.

Dostojnik w wspaniałym stroju, nie mający żadnych zasług do naszego szacunku, nie sprawia na nas żadnego dodatniego wrażenia. Gdyby wzbudzał w nas szacunek tylko swym strojem, bylibyśmy podobni do murzynów, poddanych królika afrykańskiego, którzy padają na twarz przed tym królikiem nagim, który dla nadania sobie dostojeństwa królewskiego włożył na czarną szyję biały kołnierzyk, a na kędzierzawą czuprynę — cylinder. Człowiek biały śmieje się z takiego murzyńskiego szacunku. Amerykanin patrzy z lekceważeniem na takiego królika, lecz czuje szacunek dla sprawiedliwego, rozumnego sędziego amerykańskiego, chociaż ten ostatni podczas rozpraw w sądzie w upalne dni sierpniowe zdejmuje kamizelkę.

W naszych czasach ludność, zdobywając coraz większą oświatę, ceni w ludziach tylko wysokie zalety moralne, geniusz, charakter, nie interesując się zbytnio zewnętrzną pompą.

A więc i w gminie nie należy ludzi cenić według ilości posiadanego majątku, nie według stroju, ale według duchowej wartości, według rozumu i cnót, jakie posiadają. Majątek, uczciwym sposobem nabyty, nie ubliża nikomu, ale też nie powinien zbytnio wzbijać go w dumę, bo on sam przez się jest znikomością, która nikogo wywyższyć nie zdoła. Taksamo przypadkowo nieraz zdobyty tytuł lub stanowisko radnego, wójta a choćby posła nawet nie zrobią nigdy z człowieka bez wewnętrznej wartości niczem więcej, jak był przed uzyskaniem tego tytułu.

Takby powinien każdy sądzić a jednak jest niestety inaczej. I ten, któremu dostaje się wyższy tytuł, ma się często za coś wyższego ponad rzeczywistą swoją wartość wewnętrzną i my najczęściej oddajemy hołdy nie jego rozumowi, ale jego tytułowi do jakiego doszedł. A tak być nie powinno, bo takiem postępowaniem psuje się tylko dane osoby a społeczeństwu jedynie szkodę się przynosi. Człowieka cenić należy jedynie według jego wartości moralnej.

Bolesław Zygmunt Gnoiński.

ROK 1813.

Z dziejów wojska polskiego.

XVI.

13, 14 i 15 października spokój. W tym ostatnim dniu wojsko polskie i francuskie, pod bronią, wysłuchuje urzędowej nominacyi księcia Józefa marszałkiem Francyi; wódz polski słucha tego dekretu z obojętnością.

16 października już od świtu straszny zapanował ogień na wszystkich pozycyach wielkich armii. O kolumny wojska polskiego, niby fale morskie o brzeg skalisty, rozbijały się liczne pułki nieprzyjaciół. Korpus księcia Józefa w tym dniu trudną miał funkcyę, gdyż sam nie wchodził w walkę zaczepną, lecz bronił tyłów wielkiej armii Napoleona.

Twardo więc na pozycyach stoi piechota, dzielnie odpiera ataki kawalerya, ochładza pokusy Austryaków i Prusaków, pragnących zająć lewy brzeg Plejssy, gdzie walczy teraz armia francuska ze znacznie liczniejszym przeciwnikiem. Polacy nie ustąpili ani piędzi ziemi, pozostając dzień cały pod nawalnicą kul karabinowych i kartaczy. W dniu tym książę Józef, po raz wtóry ranny w rękę kulą karabinową poniżej łokcia.

17 października był dniem spoczynku. W powietrzu unosiła się gęsta mgła. O 10 rano książę Józef zaprosił generałów polskich na naradę wojenną; przedewszystkiem rozpatrywano kwestyę dotyczącą planu rozlokowania korpusu polskiego na terenie bitwy, następnie zastanawiano się nad zmiennością saskiego 10 pułku piechoty, który podobno przeszedł na stronę nieprzyjaciela. Rozważano, czy wogóle nie jest to hasłem do masowego porzucenia przez Sasów sprawy Napoleona.

W tej ostatniej sprawie zabrał głos generał dywizyi Kamieniecki, oświadczając, że bezzwłocznie trzeba wysłać jakiegoś sprytnego oficera do obozu Sasów, aby należycie wybadać panujące tam zapatrywanie, gdyż ci zajmują środek pomiędzy IV korpusem polskim rezerwy kawaleyi, a armią francuską i mogliby tym sposobem narobić strasznej, a niepowetowanej biedy.

Wniosek poparły wszystkie głosy, a książę Józef, siedzący dla słabości zdrowia zupełnie w przechylonej pozie na jakimś tapczanie pochodowym, podchwycił zdanie Kamienieckiego.

— Tak, to jest bezwarunkowo konieczne; przywołajcie mi panowie porucznika 6 pułku ułanów Leszczyńskiego, ten człowiek będzie najodpowiedniejszy do spełnienia tej funkcyi.

— Leszczyńskiego — odezwał się, powtarzając po dwakroć to nazwisko i podnosząc się ze swego miejsca Krasiński — zdaje mi się — ciągnął dalej — że jest ranny; słyszałem, że onegdaj, szarżując ze swym oddziałem niedaleko punktu obserwacyjnego, wdarł się w środek austryackiego pułku dragonów i sam własnoręcznie wyrwał sztandar chorążemu, poczem wskoczył do Plejssy i przepłynąwszy już ją, na drugiej stronie spadł z konia ugodzony kulą karabinową, lecz podobno niegroźnie.

— A ze sztandarem co się stało? — podchwycił książę Józef.

— Sztandar podobno przejął francuski generał Gavau i odwiózł do Napoleona — odrzekł Krasiński.

— Jakiem to prawem stać się mogło? — krzyknął książę Poniatowski — czyliż nie przestaniemy kłaść na głowy francuskie wieńców gloryi polskiej? Który z panów generałów był przy tem obecny?

Książę patrzył oczami rozgorączkowanemi i z nagłą irytacyą po wszystkich obecnych, lecz okazało się, że tylko jeden Krasiński dowiedział się o tem od jakiegoś pułkownika francuskiego.

— Dyżurny! — krzyknął książę, zwracając się do siedzącego z boku oficera — proszę bardzo zająć się sprowadzeniem porucznika Leszczyńskiego, a jeśli ranny, to go na noszach przynieść.

Nie upłynęło i pół godziny, jak przed Radą generałów polskich stanął blady, lecz sztywno trzymający się Leszczyński.

— Przedewszystkiem gdzie sztandar, pytam się do kroćset dyabłów! Jak śmiałeś go, poruczniku, oddawać generałowi Gavau?

— Wasza książęca Mość — wybąkał Leszczyński — sztandar u mnie w zanadrzu — to mówiąc, wyciągnął i podał oznakę pułku naczelnemu wodzowi.

— Boże drogi! Boże wielki! o jakże Ci dziękować powinniśmy, żeś nas Polaków obdarował prawdziwą walecznością i hartem duszy — wymówił książę, patrząc na sztandar.

— A jakążeś dał odprawę generałowi Gavau?

Porucznik drgnął, potem spuściwszy oczy, rzekł:

— Zawiniłem, Wasza książęca Mość.

— No, coś zrobił, mów prędzej.

— Koniecznie zmuszał mnie do oddania, nie chciałem tego uczynić.

— To dobrze — przerwał książę — dalej?

— Następnie powiedział mi głupstwo, oświadczając jednocześnie, że nie mam szacunku dla wyższej rangi.

— A ty co na to?

Porucznik spojrzał prosto w oczy księcia, śmiało mówiąc:

— Nie lękam się najstraszniejszej kary, choćby nawet rozstrzelania, jeno mi przykro, żem drogiemu nam wodzowi zrobił postępkiem swym nieprzyjemność. Dałem generałowi Gavau policzek.

— Źle — zauważył książę — ale wina zmazuje się zasługą nagrody; wobec tego awansu nie dostaniesz aż za dziesięć dni. Żeby zaś umorzyć ostatecznie twą winę, to, jeśli żywi będziemy, jutro po skończonej bitwie, pojadę sam do cesarza Napoleona i będę błagał, by ci, poruczniku, winę darował.

— Nie czuję się być wart tej łaski, jestem już i tak szczęśliwy, że Wasza książęca Mość raczył mi darować, a co się stanie dalej, to wola Boża.

— Bredzisz — rzekł żartobliwie książę — dopóki ja żyję, włos z głowy ci nie spadnie, a teraz odpowiadaj, poruczniku, jak twe zdrowie?

— Ranny jestem w bok, ale czuję się dobrze. Wszyscy my Polacy tak przywykliśmy odpowiadać podczas służby ojczyźnie, ot i ja się czuję dobrze, choć kości ręki mam pogruchotane.

Tu książę zamyślił się przez chwilę, poczem rzekł dalej:

— Pojedziesz, panie poruczniku, do obozu saskiego i wybadasz, jaki nastrój panuje pomiędzy niemi, gdyż podobno zbierają się opuścić sprawę cesarza Napoleona. Pamiętaj działać z wszelką ostrożnością i przywieź choćby najmniejszy dowód tego łotrowstwa. Zrozumiałeś?

— Wedle rozkazu Waszej książęcej Mości — odrzekł Leszczyński, poczem wyszedł z namiotu.

XVII.

Leszczyński szedł prosto do swej kwatery. Młody oficer rozważał nad planem powierzonych sobie wywiadów, oraz nad tem, jak mu będzie lepiej pojechać do obozu Sasów, w pojedynkę, czy też z Krawczykiem, wreszcie postanowił zabrać wachmistrza.

Upłynęła jeszcze dobra godzina, zanim porucznik przyszedł do swego namiotu, opowiedział o wszystkiem Krawczykowi, a następnie obadwaj wsiedli na konie, udając się do oznaczonego celu.

Olbrzymie stada spłoszonych jeźdzcami kruków z nieznośnym krakaniem unosiło się na chwilę w powietrze, to znowu opadało czarną chmurą na przerwaną ucztę. A żeru było dosyć, pomimo, że sanitaryusze z pośpiechem grzebali trupów, to jednak moc ich leżała jeszcze w rozmaitych pozach: to po kilkunastu w jednej grupie, tworząc całe pagórki, na których u wierzchołka leżał niekiedy koń, wywrócony do góry zesztywniałemi nogami, lub kilka głów ludzkich z otwartemi ustami, jakoby mówiących: »Przechodniu! uciekaj stąd, tu nie miejsce dla żywych, lecz ołtarz ofiary waśni narodów«.

Cisza panowała naokoło, przerywana tylko krakaniem kruków lub chwilami hasłem szyldwachów.

— Boże święty — rzekł sam do siebie wachmistrz — a toć to kawałka ziemi niema na tem polu bitwy, żeby nie była krwią zbryzgana. Prawdziwie, że Bóg wielki zsyła ludziom wojny na upamiętanie, ale chyba tylko temu, co walczy, nie zaś temu, co spokojnie czyta gazety lub książki o bitwach, leżąc może pod pierzyną na piecu.

— Co tam mruczysz stary? — zapytał porucznik, przerywając wachmistrzowi dalsze wywody.

— Mówię, Wasza Mość, że straszno patrzeć na pobitych.

— Każdy, kto się rodzi, ma przeznaczone, jaką śmiercią zginie — odrzekł porucznik. — Człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi.

Tymczasem tak rozmawiając, podjeżdżali do obozu saskiego; ledwie tylko wjechali w jego terytoryum, zatrzymała ich pikieta, prowadzona przez oficera.

— Hasło! — ozwał się pierwszy Sas.

— Jadę nie po służbie, lecz z interesem osobistym, przeto nie wiem, ani jakie hasło, ani jaki odzew — odrzekł Leszczyński.

— Ano, jak tak, to w takim razie aresztuję — odezwał się znowu kiepską francuszczyzną oficer saski.

— Wszystko mi jedno, aresztuj pan czy nie aresztuj, ja i tak od dziś wasz się liczę. Przyjechałem prosić waszego naczelnego wodza, aby mnie przyjął do swych szeregów, boć u nas niema już co robić: żołdu nie płacą, a w końcu może przyjdzie się o żebranym chlebie do Warszawy wracać.

— Przyjmą pana — rzekł nieco łagodniejszym tonem Sas — bo u nas brak jest oficerów. A to kto ten żołnierz, co z panem jedzie?

— To nie żołnierz, tylko wachmistrz, on także chce przejść pod wasze skrzydła.

Tu porucznik zwrócił się po polsku do Krawczyka.

— Nie prawda, żebyś chciał służyć panom Sasom!

— O, mój Boże! aż się trociny z nosa posypią.

— Co on mówi? — zapytuje Sas.

— Mówi właśnie, że z przyjemnością będzie wam służył.

— I taki też przyda się — rzekł dalej oficer.

— No więc, panie poruczniku saski, podajmy sobie bratnią dłoń.

— Zgoda! — podchwycił oficer — a teraz chodźmy do mojej kwatery, będziemy mogli pogawędzić, bo służba na dzisiaj już mi się skończyła.

— Dobra nasza — szepnął Leszczyński.

W chwile później wjeżdżając do wsi, przyszło porucznikowi na myśl, żeby czasami Sasi, chcąc im się przysłużyć, nie zaprowadzili koni do swej stajni, z której na wypadek ucieczki trudno byłoby je wydobyć, przeto, kazawszy konie niby wpierw napoić, mrugnął na Krawczyka, a temu nie potrzeba było słowami dać do zrozumienia. Leszczyński, porozumiawszy się tym sposobem z wachmistrzem, wszedł do kwatery porucznika, a Krawczyk zamiast z końmi do rzeki, wprowadził je do obok stojącej zagrody chłopskiej, tłómacząc gospodarzowi, ze sam komendant placu tu mu kwaterować wyznaczył. Tymczasem do oficera saskiego weszło kilku jego kolegów. Zaczęła się pijatyka, oraz wesoła gawęda, z której Leszczyński dowiedział się, że tegoż samego dnia została ogłoszona po wszystkich wojskach saskich wiadomość o odstąpieniu Napoleona, której treść miał spisaną prawie każdy oficer.

Dowiedział się również, że liczne rezerwy Bernadotta i Blüchera ściągnęły także tegoż dnia do obozu saskiego, i mają być jedynie zwrócone do ataku na korpus polski. Gdy taka wesołość panuje, jeden z Sasów podaje do ogólnej wiadomości podchmielonym towarzyszom, że dnia tego miał szczęście zatrzymać kilka sióstr miłosierdzia, dążących do obozu.

— Jest pomiędzy niemi — ciągnął dalej opowiadanie — kilka ładnych i młodych, szczególnie jedna szatynka z niebieskiemi, jak chaber, oczami.

— Boże drogi! — rzekł sam do siebie Leszczyński — może to Zofia?

Jakieś dziwne uczucie szarpnęło nim.

— Muszę ją wydostać stamtąd — szepnął do siebie.

Pijąc tylko dla pozoru, zupełnie był trzeźwy, zdawał więc sobie sprawę z tej strasznej nowiny. Cała nawała myśli napływała mu do mózgu, rozumiał doskonale, że podczas wojny różne dzieją się rzeczy, dopuszczał więc sobie do głowy gwałty nad opuszczoną dziewczyną i wprost rzeczy straszne.

— E, jakoś nam kolega posmutniał — rzekł jeden z obecnych oficerów.

— Nie posmutniałem, jeno ciekawy jestem, co też zrobią z temi siostrami miłosierdzia.

— A z niemi! — podchwycił ten właśnie, który przed chwilą opowiadał o tej wiadomości — one są teraz w kwatrze naszego generała pod silną strażą, gdyż posądzają je także o szpiegostwo.

Niebawem z dalszej rozmowy, Leszczyński dowiedział się, gdzie właściwie znajduje się ta kwatera generała saskiego, poczem rzekł do obecnych:

— Przepraszam bardzo szanownych kolegów, lecz tak duszno w izbie, że muszę wyjść ochłodzić się.

— O! samego nie puścimy, choć drogim nam jesteś gościem, ale co służba, to służba — rzekł gospodarz kwatery. — Ja pana tu sprowadziłem, ja też nie aresztuję, ale pilnować będę, aż ostatecznie złożysz przysięgę na wierną służbę naszemu królowi.

— Już składałem, kolego.

— Tak jest, nie przeczę — odrzekł Sas — lecz w Polsce, teraz zaś złożysz ją w Saksonii.

— Dobrze — rzekł Leszczyński — więc chodźmy razem, tylko się nie gniewajmy, bo na towarzyszy broni to nieładnie.

Tu Leszczyński, udając pijanego, objął za szyję Sasa, poczem obadwaj wyszli na podwórze.

Na dworze była już noc ciemna, choć oko wykol. Ledwo wyszli tylko z domu, Leszczyński rzucił się jednym susem na swego towarzysza, następnie, zerwawszy mu z szyi szal jedwabny, który oficerowie sascy nosili jako ozdobę munduru, zakneblował mu usta. Robota ta nie była trudną, gdyż Sas był dobrze podchmielony, następnie wciągnąwszy go do niewielkiego ogródka, szepnął mu do ucha:

— Mógłbym cię życia pozbawić, ale tego oficer polski nie potrafi, jak również nie będzie dziś bił jednego, a jutro jemu służył; bywaj więc zdrów,

a bacz, że jak mi wleziesz w oko podczas bitwy, to się inaczej z tobą rozprawię.

To mówiąc, wyciągnął mu z zanadrza odezwę, dotyczącą zdrady Sasów, a którą każdy oficer w dniu tym obowiązany był mieć przy sobie.

Nie tracąc chwili, przypadł Leszczyński do miejsca, gdzie oczekiwał go Krawczyk, poczem obadwaj, dosiadłszy koni, skierowali się w stronę obozu polskiego i znikli w ciemnościach nocy.

(Dokończenie nastąpi).

ZWODNICZA MIŁOŚĆ.

(Legenda).

Niegdyś, bardzo dawno na wschodzie żył na pustyni pewien człowiek święty. Rad był ze swojej samotności i pokój miał w swem sercu, a świątobliwość w duszy: miód pszczół dzikich i owoce leśne żywiły go dostatecznie; lwy były mu przyjaciółmi, hyeny niewolnicami; orzeł spuszczał się z obłoków po błogosławieństwo do niego; wiatry i burze były mu posłańcami; zabił w sobie materyę, dusza w nim panowała niepodzielnie, w dzień i noc chwalił Boga.

Lata tak biegły, zestarzał się, mówiąc do siebie:

— Żyłem zadowolony, umrę czysty, gotów do Królestwa niebieskiego.

Było to jeszcze za czasów, kiedy wierni do Boga na krzyżu uśmiechali się wśród tortur męczeństwa i ginęli w płomieniach stosów, marząc o krainach, gdzie słońce nie zachodzi nigdy, gdzie śpiewy nieustają ani na chwilkę, gdzie wierzący znajduje wieczne ukojenie. Tak lata mu upływały i żył zadowolony w spokoju.

Pewnej nocy, wśród huku piorunów i deszczu zalewającego ziemię, stanęła u wejścia do jego pieczary jakaś podróżna, osłabiona, cierpiąca, kulejąca, przerażona zgrozą pustyni, błagająca o wybawienie od pantery. Zrazu opierał się spełnić jej prośbę, mówił bowiem sobie:

— Tam, gdzie się zjawi kobieta, niema spokoju dla człowieka.

Ale ona była w tak okropnem położeniu, że ze łzami błagała, ażeby jej nie wypędzał, ażeby jej nie narażał na gromy piorunów i na zęby lwów. Litością ludzką uczuł się zdjęty; otworzył przed nią drzwi, prosił ażeby weszła i przyjęła schronienie w imię Wszechmogącego.

Ale skoro weszła, pozbyła się wieku, choroby, nędzy, oczy jej nabrały blasku gwiazd, usta słodyczy róż na pustyni, członki wdzięku gazeli, ciało promienności i woni kadzidła palącego się na złotym ołtarzu. Rozśmiała się i zawołała:

— I tyś myślał, że żyłeś, a nie kochałeś, o mądry i święty człowiecze! Po trzykroć jesteś szalony!

Wtedy uczuł, iż młodość znowu mu płynie w żyłach, w mózgu wre szał; życie, jakie pędził, wydało mu się podobnem do śmierci a wieczność ohydną, ponieważ były bez miłości. Wyciągnął ręce, usiłując ją pocałować i wykrzyknął:

— Zostań ze mną, choćbym cię miał okupić ogniem piekła.

I została. A gdy świt zawitał, opuściła go ze śmiechem, wymknęła mu się z rąk jak widziadło, odeszła w pierwszych szkarłatniejących blaskach, nie przestając się śmiać, przywołując go i drwiąc z niego. Podążył za nią, gonić ją począł w świetle jutrzenki i w ogniach słonecznych i w ciemnościach nocy. Ale już nie mógł dosięgnąć jej — rozwiała się jak barwy tęczy nikną na widnokręgu. Szukał jej wszędzie, przebiegał każde miasto, każdy kraj. Powiadają, szuka jej wciąż jeszcze, skazany żyć wieki całe, nie mogąc umrzeć nigdy. *Władysław Stefański.*

Stolica Bułgaryi podczas wojny.

Ciągle czytamy o zwycięstwach państw bałkańskich nad Turkami, zwłaszcza zaś znakomitej armii bułgarskiej, która wytknęła sobie najtrudniejsze zadanie i zadanie to świetnie spełnia. Ale warto też zobaczyć, jak wygląda dziś stolica tego państwa, Sofia, gdy wszyscy, którzy tylko byli zdolni do broni, wyszli przeciwko wrogowi. Oto pewien Anglik, będący w Sofii, tak opisuje stan obecny tego miasta, zupełnie pozbawionego ludzi zdolnych do pracy:

Idę do banku; zamknięty. Młodzi urzędnicy bankowi walczą pod Adryanopolem. Odwiedzam jednego z wielkich, znanych przemysłowców. Ma lat przeszło 50, a więc od służby wojskowej dawno wolny. Siedzi sam jeden w obszernym kantorze. Biuro jego wspólnika puste; jako porucznik rezerwy, udał się do pułku, pod Adryanopol. Puste także biura urzędników i pracowników kantoru. Po ogłoszeniu mobilizacyi przywdziali mundury i obecnie walczą. Przemysłowiec prowadzi mnie do magazynów. I tu również prawie zupełna pustka. Ruch handlowy ustał; pociągi przestały przewozić towary. Wojna uniemożliwiła obroty handlowe: jak długo będzie trwała, kantor nie wydobędzie od swych klientów ani grosza, dostawcom również wstrzymał wypłaty.

Mój przemysłowiec oczekiwał na transport 5000 worków z Anglii. Nie ma pojęcia, gdzie się obecnie znajdują i kiedy je otrzyma. Większą część towarów przysyłano przez porty bułgarskie Warnę lub Burgas, od tygodnia jednak morze Czarne jest z komunikacyi handlowej wykluczone, a nawet, gdyby towary w porcie odebrano, kolej nie dostarczy ich. Znajdujące się już w magazynach zapasy zostały wyczerpane: rząd je zabrał. Ów przemysłowiec był sam członkiem komisyi rekwirującej jego własny towar. Zażądano od niego 500 worków ryżu, 10.000 kilogramów cukru, 5000 kilogramów herbaty. Zamówienie bardzo piękne, szkoda, że na kredyt. Na razie bowiem otrzymał przemysłowiec pokwitowanie, pieniądze dopiero wtedy, gdy rząd uzna to za możliwe. A trwać to może bardzo długo.

Idę do szkoły, nowego pięknego gmachu, by dowiedzieć się, co się dzieje z dziećmi podczas wojny. U wrót budynku posterunek wojskowy; szkołę zamknięto, gdyż wszyscy nauczyciele powołani pod broń; gmach szkolny obrócono na magazyn materyałów wojennych. Przechodzę obok pawilonu wystawy rolniczej: u wrót znajduję również strażnika. Produkty wystawowe zabrał rząd. Wreszcie kończę spacer u fabrykanta jedwabiu, młodego Bułgara, który przed dwoma laty otworzył firmę na jednem z przedmieść Sofii. Na dzwonek otwiera drzwi żona właściciela fabryki. Mąż walczy pod Adryanopolem. Wraz z nim powołano pod broń 60 robotników. Pozostało ich w Sofii tylko czterech cudzoziemców, Francuzów. Fabryka musiała stanąć. Wstępuję obok do domku robotniczego. Ojciec rodziny poszedł na wojnę; żona i dzieci żyją z 40 groszy dziennie, które im rząd wypłaca. Żona nie wie, gdzie jej mąż się znajduje i czy jeszcze żyje. Rząd nie ogłasza listy tych, którzy ponieśli śmierć na polach bitew.

Po drodze odwiedzam jeszcze kilka małych sklepików. W jednym z nich zastaję dwunastoletniego chłopaka, który z dumą oświadcza, że to on teraz prowadzi interes. Ojciec należał do rezerwy i powołany został na wojnę. Gdzie się znajduje, nie wiadomo. Z tylnego pokoju wychodzi żona. Skarży się, że często głód zagląda im w oczy, bo nikt prawie nie kupuje. Takie opuszczenie i zastój panują dziś na każdym kroku w Sofii, podczas gdy wojska bułgarskie odnoszą świetne zwycięstwa nad Turkami.

Wojna na Bałkanie.



Walka w ulicach zdobytej Berany.

Przeżywamy obecnie chwilę dziejową wielkiej doniosłości. Oto potężna dawniej Turcya, co niegdyś zagrażała chrześcijańskiej Europie, a tylko Polska skutecznie ataki jej odpierać musiała i dlatego nazwaną została »przedmurzem chrześcijaństwa«; ta Turcya niegdyś pierwszorzędna potęga, która w Europie urosła zaborami ludów chrześcijańskich i gnębiła je okrutnie — dzisiaj prawie że została wykreśloną z liczby państw europejskich. Niegdyś podległe jej ludy, potem małe państewka złączywszy się razem, z zapałem nie do opisania, z męstwem nieustraszonem pokonują potężnego ongi wroga, a mądrem obmyśleniem planu wojny zabierają jej całe kraje z miastami i fortecami, stanowiącemi najważniejsze punkty dla operacyj wojennych.

Grecy zdobyli już Saloniki, miasto handlowe nad morzem Egejskiem, Serbowie przedtem już Skoplje, stary gród serbski, przez setki lat będący w posiadaniu tureckiem, a Bułgarzy, staczając krwawe i zwycięskie bitwy, już zbliżają się do Konstantynopola, który od pół tysiąca lat nie widział w murach swoich nieprzyjeciela.

Turcya prosiła wielkie mocarstwa o pośrednictwo pokojowe, te jednak odmówiły, gdyż państwa bałkańskie pośrednictwa nie chcą, a Bułgarzy pragną pokój podyktować pokonanej Turcyi w jej stolicy, Konstantynopolu. Wobec walącego się państwa, wobec utraty wszystkich ziem w Europie Turcy teraz, choć wojska ich zostały zdziesiątkowane, postanowili z odwagą rozpaczy walczyć o Konstantynopol do upadłego. Turecka rada ministeryalna postanowiła prowadzić wojnę aż do ostatniej kropli krwi. Postanowiono na gwałt reorganizacyę armii, przez podniesienie karności wojskowej i w tym celu wyznaczono 100 duchownych, którzy mają obowiązek wygłaszać kazania do żołnierzy i przestrzegać praktyk religijnych wśród armii. Również oficerowie i podoficerowie wygłaszać obowiązani są przemowy do wojska, pouczając ich o znaczeniu obecnej wojny dla Turcyi i religii mahometańskiej. Cała osmańska dynastya poprzysięgła walczyć aż do śmierci. Jeszcze zewrą się z sobą ze straszną zaciętością dwie siły: Turcy, którzy do ostatecznej hańby, to jest zajęcia stolicy dopuścić nie chcą i zwycięzcy dotąd Bułgarzy. Król bułgarski Ferdynand ma zamiar po zajęciu Konstantynopola przejść na prawosławie i osobiście zatknie na Hagia Sofia (meczet w dawnym kościele św. Zofii, jednej z najwspanialszych świątyń świata) krzyż prawosławny. Ten akt, jaki spełnić chce król Ferdynand, a mianowicie odprawienie nadto w obecności dowódców armii bułgarskiej, serbskiej i greckiej uroczystego nabożeństwa w Hagia Sofia, ma być koronacyą dzieła uwolnienia chrześcijańskich narodów na Bałkanie z pod jarzma półksiężyca. (Ostatnie nabożeństwo chrześcijańskie w Hagia Sofia odprawiono 29 maja 1452).

Wraz z postępami wojennymi państw bałkańskich wynikł zatarg między Austryą a Serbią. Ta ostatnia bowiem chce koniecznie zatrzymać jeden port nad morzem Adryatyckiem, a Austro-Węgrzy zgodzić się na to nie chcą, gdyż sprzeciwia się to ich interesom handlowym. Monarchia nasza odnosi się życzliwie do zwycięstw państw bałkańskich i pragnie z niemi przyjaznych stosunków w przyszłości, jako najbliższy a potężny sąsiad uwzględnia ich wszelkie interesy, ale ono kończyć się musi tam, gdzie zaczynają się żywotne interesy Austryi. Austryę przeciw Serbii popierają Niemcy i Włochy, Anglia uznaje też interesa Austryi, a Bułgarya nie podziela także planów Serbii co do portu nad Adryatykiem.

CZASEM.

Czasem w mej duszy zadźwięczy nuta,
Jakby w słonecznych blaskach wykuta
I rozpromieni życie na chwile
W kaskady światła, w barwy motyle.

Czasem się życie tak me rozkwieci,
I jakąś w duszy błogość roznieci,
Żebym z wichrami leciał w zawody
Za sine góry, za sine wody...

Czasem znów czyjeś oczy serdeczne
Wypalą w duszy mej piętno wieczne
I rzucą szczęścia w życie kaskady,
Rzucą na usta swój uśmiech blady.

Lecz wszystko mija, jak baśń tęczowa —
Gdzieś się szczęśliwość za chmury chowa
A na mą duszę pcha się koniecznie
Smutek, by zostać na niej już wiecznie!...

Antoni St. Bassara.

ŚPIEWKA KUNDY.

(Opowiadanie góralskie).

Zima macocha chyciła gazdować. Lasy śnigiem, kieby pirzem zasuła, potoki rybami z lodu zaśkliła. Na halak zrobiło się głucho, kie w grobie, ale i to bie wsej; bo kie wicher zacnie tamok gazdować, biołe śniga tumany przeganiać, kieby juhas owiecki, a porykiwać se przytem to z grubsa, to zaś z cieńsa, jak chyci lotać, kie wartogłowy, niby cegosik sukajęcy, to w roztokach jaze dudni, a z chałupy lepi nosa nie wyścibiać. Wyleci se taki powicher zkanysik, gwiźnie se na kuraż roz, drugi, zaobyrtnie smrekiem sirotą, co na pustaci stoi i leci dalij w dyrd ki nizko przi ziemi. Porwie zasie potem tumon śniga, wydobyrto sie śnim, kie parobek w karcmie z dzieuchą, praśnie nim zasię, chyto drugi i niesie hen zasypujęcy chałupy i opłotki. A za nim sunie drugi, trzeci, cworty i tak ciągiem; a kie sie juz zeznają, ligają se na zimnyk pustkak na śnigu, jak na pierzynie, coby se kielo-telo podrzymać i zaś póżni z jesce większą siłą hulać.

W chałupie Jamroza Niedźwiedzkiego, co bez długie roki sołtysem w Koninkach bywoł, a teroz zasie na stare lata handlowaniem się zajmowoł, siedziała na ławie wedle komina jego baba, Kunda, co ją przed trzoma rokami pojon, choć juz bez mała sześciedziąt roków licył. Śmioli sie śniego ludzie, ze se taką młódkę biere, jegomość ślubu dać nie fcioł, ale sie ta jakosi doł ubłogać a i ludzie pomału przestali godać i przywykli. Starego Jamroza całemi tydźniami nieroz w chałupie nie beło, bo z jarmaku na jarmarek jizdzoł, woły, barany i wseleniejaką chudobę skupowoł i zasie z dobrym zarobkiem przedawoł. Kundzie cheba jacy mlika ptasiego zbywało, bo ją stary okrutnie miłowoł, gościńce drogie zwoził, snur jij koroli wielkich, nikiej orzechy, kupił, ale sytko darmo. Zacięto beła, nablizyć mu sie do siebie nie dała a ino ciągiem po kątach popłakiwała, jaze jij ocy od tego płacu napuchły i pocerwieniały. Jagody jij zbielały, krew sytka śnich uciekła, a jino te ocy świciły się poprzez łzy niby dwie gwiozdy. On sie nieroz ozeźlił bez to, ze tako hardo dlo niego beła, poklinoł z cicha, ale kie na niego temi ocami poźrała, to w nim cosik tajało i złość kanysi odlatowała; seł wtedyj do skrzyni, dziesiontkę papirową wyjmowoł, do gorści jej wtykoł i gwarzył:

— A dy neścize i kup se na jarmaku smacine śwarną lebo co fces, a nie płac, bo nie przeniesem tego.

Ona wtedy grajcary na ławie kładła, ani na nie poźrawsy i do obory sie wymykała, wsej se robotę jakąś wysukawsy. A on ino zębami zgiełtnął, kapelusem siwy łeb nakrywoł i z chałupy uciekoł. Takiego zycio było juz bez mała trzy roki.

I dziś siedzi se Kunda podle komina i przędzie szarą nić, taką samiućką, jak i jij zycie, co je juz downo przegrała. W ocak polą ją łzy, a w młodem sercu nikiej gniozdo źmij. A psecie ona dumała, ze sie jij scęście uśmichnie, ze ten, co go tak umiełowała, wróci taki sam, jakim w świat pojechoł... wróci, do się przytuli i w świat scęścio wycarowany powiedzie. Ale nie wrócił. Juz pienć roków, jak przepod kanysi, nikiej kamień w boniorze. Gwarzyły dziwki, co z Hameryki przijechały, ze sie z jakąś Miemką zwąchoł i ozenił.

Ozenił sie, a no niechze ta, ale bez co jij nie napisoł, bez co sie śnią nie pozegnoł?... I oto w ten wiecór zimowy dźwigo sie przed nią sytko, o cemby zabocyć rada. Ten wiecór majowy, kie w sadzie, o krzasła oparci, gwarzyli ze sobą, zegnając się. On jij przisięgoł, ze wróci za rok, za dwa, jino grajcarów zarobi, coby pola kielo telo kupić...

W kącie izby na wyrku cosi stęknęło i zacęło się ropolić, ale zaroz ścichło; to matuś jij, staruska, cało porazono, nogami ani ręcami rusyć ni mogąco. Podesła ku wyrkowi, ale widząc, ze matusia śpią, otuliła ją kożuchem, zogłówek poprawiła i dalej przędła nić szarą i myśli, co leciały sporzyj niz nitka...

Poseł... Cekała listu, ale cekała po próżnicy, bo jemu co innego beło w głowie; godały jij chodoki, co wracały ze świata i śnim w jedny fabryce robiły, ze se wesoło zyje, po muzykak chodzi, grajcary ciężko zarobione marnuje, a śnij sie wyśmiwo. Przecirpiała i to, a serce miłujące broniło go, mówięcy: »A niechze się wysumo, bo młody je, a w świecie pokuśników dosyć. Zbrzydzi sie mu, to i wróci sie do swojij Kundzi...«

Cirpiała, a miłowała go. Pana Boga prosiła, by sie to prędzy skońcyło, zeby sie juz wysumoł, a wrócił. Pracowała, ile tchu w piersiach wydolało: to na dworskie, to gazdom do roboty sie najmując, byle matusi kapki wina na poliwke, lebo kukiełkę świątłą kupić. Robota uzycała jij zabacenio; a kie sie zwiedziała, ze juz sie ozenił, ze przepod juz lo nij, pozegnała scęcie na wieki, zrobieła sie cichuśko, nikiej ten duch górski, a jak jij ludzie poraili, coby sła za sołtysa, bo bez to matusi jij bedzie lepij, zgodziła się, abo tu juz nie o nią sło, ino o wygode matusi. Kie sła do ołtaza, to kieby nie ona — sło ciało, a dusa błanykała sie kanysi po wirchach w cichości, kieby orlica, co młode straciła.

Hej! Hej! Nie takij ona doli cekała!... Umarte juz zywota godziny wypełzają jesce z pod popiołów, stają przed nią i wobią hen, ku sobie, w pustkę, w nic jakiesi strasne a i tak słodkie, bo wytchnienie obiecujące. Sytkiemi siłami otrząso sie z tyk myśli, śmierci posłańców, co wobią ją ku sobie. I śpiwa smutno, jak jij dolo, wymyko sie z jij ust, gość rzodki, ale miły, bo męke zycia ogrojcową usypiający:

»Bez coz na kaline wicher śnigiem miota,
coz ci ucyniła jo, bidno sirota,
ze mi zamiost scęścio, corny dołeś los,
chylem sie ku ziemi, jak złomany kłos!«

Głos nabrzmiały łzami przecisko sie bez maluśkie sybki, śnigiem zasute i porwany wichurą leci hen, w świat, nikiej listek zeschły... I nić wymknęła sie z jij palców, ocy utknęły w trzaskającym na kominie ogniu i zastygły w bolu i męce...

. . . .

A drogą od strony Poręby idzie cłek jakisi cudacnie, troche z pańska, krzynę z góralska odziany

z węzołkiem na plecak. Widno świadom drogi, bo zbocył zaroz za trocem pod góre; przepycha się bez zaspy, z powichrem, co go w tył odtrąco, sie mocuje, a pnie się do góry ku sołtysowy chałupie. Wicher duje stamstela, prasko mu w gębe śnigiem, ale ten nic nie pyto, jacy idzie. Doseł ku wrotom, postoł chwile, posłuchoł i kie złodzij skrodo sie pod okienko i zaziro do środka. Śnig garścią ze sybki zgarnął, prziłozył do nij oba ocy i patrzy. Światło od komina oświciło gębę młodą, wąsiatą, ale zyciem styraną, zbrukaną, kie smata... Nogle gęba mu sie boleśnie skurcyła, w ocak dzikik cosi błysnęło i po licu sie stocyło, na kapote spadło i zamarzło... Z izdebki dosła go śpiwka.

»Łatwo gonić okiem po nieba błękicie,
łatwo obiecować bez chmur szczęsne zycie;
obiecałeś słonko i złociste sny,
a dołeś niedolę i smutek i łzy...»

Słowa śpiwki zdzieliły go kie obuchem bez głowę, zatocył się w tył, chycił sie ręcami za włosy i gębą przypod do zmarzniętyj ziemi, zębami grudę twardą kąsając i śnig krwią brocząc, byle jino jęk potłumić. A więc to prawda, co w karcmie na Wygodzie słysoł, więc sytko przepadło!... Pocuł, ze nad nim przelecioł janioł moru, tknął go ręcami i klątwę na cole palicem, kie rozpolone zelazo go rącym, wypisoł... I jęcoł cicho, kie potępieniec, a to jego jęcenie misało się z wyciem powichru i w pustać leciało.. A kanysi w dusy coś sie mu przewracało, kie kłąb wężów jadowitych, sarpało mu wnątrze, kieby kliscami, a głos jakisi godoł, by sędzia nieprzebłogany: »Someś se winien, someś se dole takom ukuł; cirp tedy teroz, boś jej zycie złomoł, tyj, co cie tak miłowała, co bez tela roków cirpiała skróć ciebie, a nic nie godała, kochała ino! Juz jij nie worceś, boś gorsy, niz zbój!...« I torzoł sie w śnigu, jaz nogle zerwoł sie i równo z wiatrem puścił sie w dół, nie bacąc, kany leci, a za nim leciały słowa piosnecki, niby bicami ognistemi go smagając:

»Powiodłeś mą dusę na zawrotne wyze,
do ramion przypioneś orle skrzydła chyze;
a kie je potrzaskoł strasnyj doli grom,
pozwoliłeś płynąć z ocu gorzkim łzom...

A on gnoł bez pamięci, łbem o węgła chałup tłukąc, w śnig sie obalając, jaz dolecioł nad škarpe, co była za Sobka Nieckuli chałupą. W bólu zapamiętany, zabocył se o tyj škarpie, okrutnie głębokiej, nadlecioł na som kroj, noga mu kiełzła i spod głową na dół, a zakiel dolecioł do dna, roztrącił sie na ostrych skolach. Marny beł zywot, marno śmierć!... A kie go późni znaśli i poznali, gruchnęło po wsi, ze Józek Magurski wrócił do Kundusi, ale jak sie zwiedzioł, ze wysła za Jamroza, zabił sie som ze żolu. Jegomość nie doł pogrzebać na poświęcanyj ziemi! wybrali tedy dołek wele płotu cmentorza i tam go pogrzebali. I to Kundy beła ostatnio śpiwka, co ją pomściła. Kielka jacy tydźni plątała sie po sołtysowyj chałupie, jaze i lo niej graborz usłoł łoze w carnej, głuchyj ziemi. Zgineła jak muska, jak liść bukowy zbielały, co go wicher hen, w bezdroze niesie. Lezy se w tę corną ziem głęboko wbito, a dusa jij umęcono posła hań przed tron Maryi Panny, coby zmiłowanie uprosić lo dusy tego, co jij zycie tak niemiłosiernie stargoł... Hej!...

Sioło Władysław.

Czarnogórskie kobiety na polu walki.

Czarnogórcy, którzy pierwsi przez wypowiedzenie wojny Turcyi rozniecili groźną pożogę bałkańską — swoją dzielnością i wytrwałością w walkach budzili i budzą powszechne zdumienie. Spodziewano się bowiem w Europie, że Czarnogórcy w pierwszem starciu z wojskiem tureckiem zostaną rozbici i zgnieceni. Zapomniano, że jest to naród zahartowany na wszelkie trudy, którego dłoń przywykła do oręża i że walczy z wrogiem zniena widzonym na śmierć i życie. Odnosi się to nietylko do mężczyzn, ale także do kobiet, które od początku wojny szły w ślad za wojskiem na pole walk często wśród gradu kul nieprzyjacielskich, niosąc dla swoich mężów i synów zapasy żywności i amunicyi. W krytycznej chwili chwytały one za oręż w obronie życia własnego i swoich bliskich.



Obrazek nasz przedstawia czarnogórską kobietę unoszącą na swoich barkach z linii bojowej ciężko rannego żołnierza, który przez swoją budowę ciała może śmiało uchodzić za typ rosłego, silnego mężczyzny. Ciężar to nawet na wytrzymałe i silne barki czarnogórskiej kobiety wielki — ale siły fizycznej dodaje jej poczucie spełnianego bohaterstwa.

Taka dzielność sprzymierzonych narodów bałkańskich dokazała, że świat z podziwem patrzy na wyniki wojny.

ROZBITKI Z BALONU.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Starania nad wykończeniem okrętu. — Walka między ogniem i wodą. — Co zostało z wyspy?

Nazajutrz Cyrus i Ayrton powrócili do Granitowego pałacu. Zgromadziwszy wszystkich towarzyszy, inżynier oznajmił im — że wyspie Linkolna zagraża straszne niebezpieczeństwo, którego żadna siła ludzka odwrócić nie zdoła.

— Przyjaciele — mówił im, a głos jego drżał ze wzruszenia — wyspa Linkolna nie należy do rzędu tych, które dotrwać mogą do końca świata. Zagłada jej jest nieuchronna; może nastąpić prędzej lub później, ale żadna ziemska potęga odwrócić jej nie zdoła.

Koloniści spojrzeli po sobie, potem zwrócili wzrok na inżyniera, nie mogąc pojąć znaczenia słów jego.

— Co chcesz powiedzieć, Cyrusie? — zapytał nareszcie reporter.

— Wytłómaczę się zaraz — odrzekł inżynier — albo raczej powtórzę wam tylko, co mi mówił kapitan Nemo, podczas krótkiej mojej z nim rozmowy.

— Kapitan Nemo! — zawołali jednocześnie.

— Tak jest. I jest to ostatnia przysługa, jaką jeszcze prawie w chwili śmierci chciał nam wyświadczyć.

— Ale cóż powiedział? — zapytał reporter.

— Słuchajcie, towarzysze! Wyspa Linkolna nie znajduje się w tych warunkach, co inne wyspy Oceanu Spokojnego, i skutkiem wstrząśnień podmorskich prędzej czy później zostanie wysadzona w powietrze.

— Co znowu! — zawołał Penkroff, wzruszając ramionami, gdyż pomimo całego szacunku, jaki miał dla inżyniera, nie chciał wierzyć w nic podobnego.

— Posłuchaj mnie uważnie, Penkroffie — rzekł Cyrus — a dowiesz się, co mi powiedział kapitan Nemo i o czem przekonałem się naocznie, zwiedzając wczoraj grotę Dakkara. Ciągnie się ona pod wyspą aż do wulkanu i tylko ściana bazaltowa oddziela ją od głównego jego komina, a ściana ta poprzerzynana jest szparami i szczelinami, przez które już wydobywają się gazy siarczane, wytwarzające się w wnętrzu wulkanu.

— A więc? — zapytał marynarz, a głos jego zdradzał pewien niepokój.

— A więc widziałem, że szczeliny rozszerzają się skutkiem wewnętrznego parcia, że ściana bazaltowa pęka powoli, i że prędzej czy później rozstąpi się i zostawi wolne przejście falom morskim, zapełniającym pieczarę.

— Bah! i cóż tak strasznego — zawołał Penkroff — woda zaleje wulkan i na tem koniec.

— Tak, rzeczywiście na tem koniec — odrzekł inżynier — gdyż w dniu, w którym morze dostanie się do wnętrza ziemi, Penkroffie, wyspa Linkoln zostanie wysadzoną w powietrze, podobnie jak wysadzoną zostałaby Sycylia, gdyby morze Śródziemne zalało wnętrze Etny.

Wysłuchali w milczeniu słów inżyniera; zrozumieli, jak wielkie zagraża im niebezpieczeństwo. Bo też Cyrus Smith mówił najzupełniejszą prawdę. — Wiele osób przypuszczało już, że ponieważ wszystkie prawie wulkany wznoszą się nad brzegiem mórz lub jezior, może możnaby je zagasić, zalewając wodą; nie wiedzieli, że tym sposobem narażonoby się na wysadzenie w powietrze jakiej części kuli ziemskiej, podobnie jak rozsadzony zostaje kocioł przez zbytnie naprężenie pary. Woda, wpadająca do środka, którego temperatura dochodzi może do sto tysięcy stopni, tak nagle zamieniłaby się w parę, iż parcia jej nie wytrzymałaby otaczająca ją skorupa.

Nie ulegało już żadnej wątpliwości, że wyspie zagrażało bliskie i straszne niebezpieczeństwo i że istnienie jej zależy od tego, jak długo utrzymać się zdoła w obecnym stanie krańcowa ściana groty Dakkara. Nie szło tu już o miesiące i tygodnie, ale może o dni a nawet godziny.

Głęboka boleść zbudziła się w sercach kolonistów, zapominali o grożącem im bezpośrednio niebezpieczeństwie, myśląc z goryczą o zniszczeniu tej wyspy, na której znaleźli przytułek i schronienie, którą z taką użyźnili pracą, ukochali całem sercem i zamierzali do kwitnącego doprowadzić stanu. Tyle trudów, pomysłów, tyle ciężkiej i krwawej pracy ma zmarnieć bez pożytku!...

Wielka łza stoczyła się po ogorzałej twarzy Penkroffa — nie myślał nawet jej ukrywać!

Jeszcze czas jakiś rozmawiali o tem, rozbierając wszelkie możliwe środki ratunku. Stanęło na tem, że niema godziny do stracenia, że należało pracować niezmordowanie nad wykończeniem statku i spuszczeniem go na morze.

Zaniechano więc żniwa, polowania, zbiorów i nagromadzania zapasów żywności w Granitowym pałacu, i wszyscy bez wyjątku pracowali przy budowie. Składy i spiżarnia tak obficie były zaopatrzone, iż zapasy te, przeniesione na statek, wystarczą choćby na najdłuższą przeprawę; chodziło tylko o to, aby nowy »Bonawentura« był spuszczony na wodę przed spełnieniem się strasznej, a nieuchronnej katastrofy.

Koloniści pracowali z gorączkową pilnością i dnia 23 stycznia roboty w większej części były ukończone. Ale w nocy 23 na 24 stycznia, pod ciśnieniem lawy, spadł z przerażającym hukiem szczyt wulkanu. Koloniści wybiegli z Granitowego pałacu, sądząc, że wyspa się rozstąpiła.

Było około drugiej w nocy. Najwyższy stożek, ważący miliardy funtów — rzucony został na wyspę i zatrząsł nią w podstawach. Szczęściem stożek przechylony był ku północy, spadł więc na płaszczyznę między wulkanem a morzem. Wtedy krater szeroko otwarty rzucał ku niemu tak jaskrawe i silne światło, iż skutkiem prostego odbicia cała atmosfera zdawała się palić. Niebo było czerwone. Jednocześnie niezmierzony strumień lawy rozlał się jakby woda spadająca z przepełnionego naczynia, i tysiące ognistych wężów wiło się po pochyłości góry.

— Przebóg!... owczarnia! — krzyknął Ayrton.

Jakoż rzeczywiście skutkiem zmiany kierunku z nowego krateru, lawa zwracała się teraz ku owczarni, a zarazem najurodzajniejszej części wyspy. Na krzyk Ayrtona wszyscy pobiegli ku stajni, w której znajdowały się onagi i zaprzęgli je do wozu, i popędzili do owczarni, jedną wspólną ożywieni myślą — oswobodzenia zamkniętych w niej zwierząt.

Przed trzecią godziną stanęli w owczarni. Przerażający ryk wskazywał straszne przerażenie kóz i muflonów. Strumień ognistej materyi spadał już z pochyłości na łąkę i z jednej strony dotykał prawie palisady; gdy tylko Ayrton otworzył drzwi owczarni, rozszalałe zwierzęta w mgnieniu oka rozbiegły się na wszystkie strony.

W godzinę później wrząca lawa zalała owczarnię, woda przepływającego ją strumienia ulotniła się, ogień zajął mieszkanie, które spłonęło jak sło-

ma; a z ogrodzenia palisady nie pozostała ani jedna tyczka. Wkrótce z całej owczarni śladu nie było!

Nadszedł 24 stycznia. Przed powrotem do Granitowego pałacu, koloniści postanowili zbadać kierunek tego potoku lawy. Ogólna pochyłość gruntu obniżała się od góry Franklina do zachodniego wybrzeża. Można więc było obawiać się, iż mimo gęstego lasu, strumienie lawy dosięgną aż do płaszczyzny Pięknego Widoku.

— Jezioro nas osłoni! — rzekł reporter.

— I ja mam tę nadzieję — odrzekł inżynier.

Próbowali dostać się na płaszczyznę, na którą spadł stożkowaty szczyt góry Franklina — lecz lawa zagradzała przejście. Z jednej strony płynęła doliną Czerwonego Strumienia; z drugiej doliną rzeki Spadku. Pozbawiony swojej korony, wulkan zmienił się do niepoznania. Teraz już nie stożkowato, lecz płasko był zakończony; dwa wydrążenia, wyszczerbione na południowym i zachodnim brzegu, wyrzucały nieustannie strumienie lawy, tworzącej jakby dwa oddzielne potoki.



...koloniści nie mogli już utrzymać się na stanowisku.

Około siódmej rano koloniści nie mogli już utrzymać się na obranem stanowisku. Nietylko różne pociski tuż koło nich padały, lecz nadto lawa, występująca z łożyska Czerwonego Strumienia, mogła przeciąć im odwrót. Pierwsze szeregi drzew lasu zajęły się ogniem.

Wrócili na drogę, wiodącą do owczarni; szli powoli, cofając się niekiedy. Koloniści zatrzymali się w pobliżu jeziora, o jakie pół mili od ujścia Czerwonego Strumienia. Była to chwila stanowcza, stanowiąca o ich życiu lub śmierci.

Nawykły do walki z najgroźniejszemi niebezpieczeństwami, Cyrus Smith zrozumiał położenie, a wiedząc, że ma do czynienia z ludźmi, nie lękającymi się prawdy, choćby najgroźniejszej, rzekł do towarzyszy:

— Albo jezioro powstrzyma pęd lawy i tym sposobem część wyspy uniknie zupełnego zniszczenia, albo przeciwnie lawa zaleje lasy Dalekiego Wschodu, a w takim razie ani jedno drzewo, ani żadna roślina nie utrzyma się na powierzchni gruntu. Wtedy znajdziemy śmierć na tych nagich skałach, a że jednocześnie cała wyspa wysadzoną zostanie w powietrze, przeto na nią niedługo czekać będziemy.

— A więc — zawołał Penkroff, zakładając ręce i uderzając nogą w ziemię — nie warto pracować nad wykończeniem statku.

— Penkroffie — rzekł surowo Cyrus Smith — zawsze i do ostatniej życia chwili należy spełniać swój obowiązek.

W tejże chwili strumień lawy, przedarłszy się przez piękne drzewa lasu, które skazywał na zniszczenie, posunął się ku wybrzeżom jeziora. Tu grunt był nieco podwyższony, i gdyby wyniosłość ta była znaczniejsza, zdołałaby może powstrzymać pęd biegnących w tę stronę strumieni lawy.

— Do roboty! — zawołał inżynier.

Towarzysze zrozumieli myśl jego; należało urządzić tamę, nie pozwalającą strumieniom lawy posuwać się dalej i tym sposobem zmusić ją do spadania w jezioro.

Koloniści pobiegli do warsztatu; przynieśli stamtąd łopaty, rydle, siekiery i z pomocą obalonych drzew zbudowali przeszkodę na trzy stopy wysoką i paręset długą. Pracy tej dokonali w kilka godzin; a zdawało im się, że trwała ledwie kilka minut, z takim pracowali zapałem.

Zaledwie tama stanęła, lawa dosięgła do jej stóp, wydęła się, jak rzeka grożąca wylewem i groziła przejściem jedynej powstrzymującej ją zapory. Szczęściem zdołała ją powstrzymać, i po chwili strasznego wahania, chwili, która kolonistom wydała się wiekiem, lawa rzuciła się w jezioro Granta, spadając z wysokości dwudziestu stóp.

Koloniści stali niemi, jak przykuci do miejsca, wpatrując się w walkę dwóch żywiołów. Jakież pióro, jakiż pędzel zdołałby odmalować tę podziwu godną, a przerażającą scenę!... Woda syczała, ulatniając się w zetknięciu z wrzącą lawą, para podnosiła się w powietrze do niezmierzonej wysokości, jak gdyby ktoś odkrył nagle pokrywę kotła. Lecz jakkolwiek jezioro zawierało ogromną ilość wody, jednak masa jej cała, jako niezasilana nową, musiała w końcu zostać pochłoniętą przez lawę, która wypływając z nieprzebranego źródła, miotała coraz nowe strumienie ognistych materyi. Pierwsze spadłe w jezioro strumienie lawy stwardniały niebawem i sterczały; po ich powierzchni toczyły się inne, także z kolei zamieniające się w kamienie i posuwające ku środkowi. Tym sposobem utworzyła się jakby masa gruzu, grożąca zasypaniem jeziorn. Gdzie pierwej była woda, teraz ukazywały się gromady skał dymiących, jak gdyby wydobywające się z łona ziemi. Tym razem ogień zapanował nad wodą.

Szczęściem dla kolonistów, strumienie lawy skierowały się do jeziora, przez co zyskiwali kilka dni zwłoki, a płaszczyzna Pięknego Widoku, Granitowy pałac i warsztaty choć na czas pewien były ocalone. Należało korzystać, aby wykończyć i opatrzyć starannie okręt; następnie spuścić go na morze i tam szukać schronienia; zaś w liny, żagle i inne przyrządy, będą mogli go zaopatrzyć później. Niepodobna było pozostać dłużej na lądzie, skoro co chwila wybuch zagrażał wyspie, a owo tak pewne dotychczas schronienie w Granitowym pałacu, mogło niebawem zawrzeć przed nimi swe granitowe ściany.

(Dokończenie nastąpi).



MACIEK BZDURA GADA:

Casem nasego prefesura to się różne figle trzymają. Raz jak wypuścił brzdąców do chałpy, wziął do garści laskę a cygaro w twarz i przysed do nas, aby nasy zonie, to jest grόbarzowej i mojej, pedzieć: Dzień dobry. Ale ze ani gosposi ani gospodarza nie było w chałpie, więc my oba wdali się w pogadankę.

Prefesur myślał, ze mnie chyci, ale mu się to nie udało.

Ni z tego ni z owego pyta mnie:

— A wies ty, Maciek, co je koń?

Juz miałem mu na inacy pedzieć, ale strzelił mi figiel do głowy i tak mu prawię:

— Koń — to jest sobie taki zwycajny zyd między zwirzętami, a la tego jest zydem, bo umi dobrze ciągnąć jak zyd z kieseni ludzki. Przy tem tak koń jak i zyd, obydwa są kuci na śtyry nogi. A i to jest prawda, ze jak koń straci ogonek nad »ń», to będzie kon, a kon to zyd.

Konie gdzieniegdzie dziela się na pociągowe i roboce. Pociągowe pełnią słuzbę w pociągach i te nazywają się konduktorami, zaś roboce inacej nazywamy wołami. Są takze konie Pana Jezusa i to prawie wsyćkie zeniate, zwłasca jak gospodyni zła i woła na swego: »Ty koniu Pana Jezusa!«

Młode konie nazywają się konikami i te świrkają we zniwa po polach. Młodych koników do roboty jednak nie uzywają, bo nie umią chodzić, ino ciągiem skacą.

Koniki różnią się bardzo od kobyłek, o cem dobrze wiedzą wszyćkie swacki i wszyscy krawcy, a i to wiedzą, ze konik z kobyłką nigdy się pogodzić nie mogą, bo jak konik jest po prawy stronie, to kobyłka po lewy, a jak kobyłka po prawy, to konik po lewy. Byłby to takze dowód, ze konik i kobyłka, to je małzeństwo.

Najgorzy jak jaki gaduła, na przykład wiecownik, wsiądzie na swego konika, to plecie bez końca, o wsyćkiem i o nicem, ze tego nikt nie rozumie.

Niktóre rzecy gadane na wiecach są tak śmisne, ze nawet końby się z nich śmiał, gdyby go tam puśclli, ale na wiece prędzej osły i cielęta mają wstęp wolny, a nie konie.

Padają, ze koni la tego na wiece nie puscają, bo teraz demokratyzacya ludności, a koń jako szlachetne zwirzę do ślachty nalezy i jak społeczeństwo na wozie jedzie, to koń zawse na przedzie.

Tagem gadał, a prefesur się uśmichał, wąsikami rusał, a gdym skończył, tak pada;

— To ty, Maciek, chyba la tego tak konia lubis, ze one mają tyle przywilejów?

— To się wie — ja na to — i wolę porządnego konia, jak byle jakiego człeka, co się ino próżnowaniem trudni, a zadnego pozytku nie przynosi.

Z TYGODNIA.

Z Rady Narodowej. Rada Narodowa zdając sobie sprawę, iż chwila obecna wymaga wszechstronnego rozpatrzenia się w położeniu i czuwania nad nastrojem w kraju, odbywa szereg konferencyj z przedstawicielami różnych organizacyj i stronnictw. Na konferencyi, odbytej dnia 3 listopada b, r., ustaliło się przekonanie, iż w chwili obecnej — zgodnie z myślą prezydyum i komitetu wykonawczego Rady Narodowej — jest wskazanem powołać do współdziałania ludzi poważnych w kraju i kierujących pracami ważniejszych organizacyj, przyczem starać się o utrzymanie porozumienia z organizacyami i stronnictwami, nie wchodzącemi w skład Rady Narodowej. Rada Narodowa nie może zalecać obecnie odbywania wieców, nie widząc w tym celu pożytku — natomiast informować będzie tak organizacye, powiatowe jak i inne narodowe organizacye, o ile tego położenie wymagać będzie.

Austrya a wojna. W obradujących właśnie w Budapeszcie delegacyach wygłosił cesarz mowę tronową, w której mówiąc o wojnie na Bałkanie zaznaczył, że interesy monarchii mogłyby być z powodu wojny na szwank narażone, «rzeczą więc usilnie pożądania godną jest rychły powrót do uporządkowanych politycznych i handlowych stosunków na bliskim Wschodzie. Rząd mój będzie gotów w porozumieniu z zaprzyjaźnionymi gabinetami wziąć w odpowiedniej chwili udział w akcyi wielkich mocarstw, zmierzającej do przywrócenia pokoju«. Minister spraw zagraoicznych, hrabia Berchtold, w swoim wywodzie zaznaczył między innemi, że dla polityki Austryi, która nie kieruje się żadnemi zamiarami zaborczymi, miarodajną jest tylko troska o pogodzenie potrzeby utrzymania pokoju z najwyższym obowiązkiem ochrony interesów monarchii przed wszelką stratą. »Chcemy — mówił minister — i nadal wytrwać na tej drodze, świadomi naszej siły, która daje nam pełną rękojmię, że możemy uzyskać posłuch dla naszego głosu. Jesteśmy gotowi stworzone przez zwycięstwa państw bałkańskich nowe położenie w sposób daleko idący uwzględnić i tak stworzyć podstawę do trwałego i przyjaznego porozumienia z niemi. Z drugiej strony jednak mamy także prawo żądać, aby ogólne interesy monarchii nie doznały uszczerbku przez nowe uregulowaniie spraw». Mimo tak pokojowych zapewnień ze strony austryackiej, położenie polityczne nie jest pewne, gdyż Rosya, która w rzeczywistości wojny nie chce, pcha Serbię przeciw Austryi.

Czesi wobec wojny. Wiele stowarzyszeń praskich urządziło po ulicach miasta składkę na rzecz Serbów rannych na polu bitwy. Składka przyniosła 10.000 kor. Składka w Smichowie na rzecz austryackiego Czerwonego Krzyża przyniosła 2200 koron. Teatr miejski w Winohradach urządził przedstawienie na rzecz południowo-słowiańskiego Czerwonego Krzyża.

Rada Narodowa w Wielkopolsce. »Dziennik poznański« wobec solidarności w Wielkopolsce, ujawnionej wymownie odezwą ziemian w sprawie wywłaszczenia, rzuca myśl stworzenia stałej instytucyi obywatelskiej, którąby się stać mogła rodzajem trybunału rozjemczego w spornych zagadnieniach społecznych politycznych. »Mamy przekonanie — pisze »Dziennik poznański« — że jeżeliby kraj instytucyę na tej zasadzie zbudowaną zaufaniem swem obdarzył, to największe przyczyny rozterek wewnętrznych z publicznego życia naszego usunąć by się dały«.

Z Chełmszczyzny. Działacze chełmscy obawiają się, że w przyszłej gubernii chełmskiej będą musieli walczyć z Polakami, a co gorzej, z Rusinami. W celu skutecznej walki, opracowali projekt połączenia wszystkich istniejących na Chełmszczyźnie organizacyj politycznych i społecznych pod nazwą Rady narodowej. Środków materyalnych ma dostarczać projektowana specyalnie dla gubernii chełmskiej loterya.

Wybory w Królestwie. O wyborach w miastach prowincyonalnych Królestwa już pisaliśmy. Teraz ze smutkiem zaznaczyć trzeba dwa wybory posłów w największych miastach Królestwa: Warszawy i Łodzi. W tej drugiej wybrany został żyd, (gdyż żydzi prawyborcy mieli większość), w stolicy zaś z powodu, że najpierw wielu Polaków nie dopilnowało swoich praw przed prawyborami, a następnie, że przy wyborach, gdzie żydzi rozporządzali większością, nie przyszło do porozumienia między żydami i Polakami — wybrany został robotnik-socyalista, Eugeniusz Jagiełło, wyłącznie żydowskimi głosami. Jest to bardzo nieszczęliwy wybór, który osłabia nasze i tak nieliczne Koło polskie w Dumie petersburskiej, będzie jednakże nauką dla obywateli Warszawy, aby zawczasu dopilnowali swych praw wyborczych, które bardzo są zachwiane przez ogromny w ostatnich latach napływ żydów do Warszawy, wrogo dla Polaków usposobionych. Wyniki wyborów do Dumy dały dla Polaków ostateczny następujący rezultat: wybrano ogółem 15 Polaków. Nie został wybrany ani jeden Polak z gub. mohilowskiej, kijowskiej, grodzieńskiej, podolskiej, wołyńskiej. Posłowie Jagiełło i Malinowski, wybrani głosami nie polskimi, do Koła należeć nie będą.

Kobiety w parlamencie w Danii. Prezes ministrów duński wprowadził zmianę do ustaw konstytucyi w tym duchu, że kobietom ma być udzielone czynne prawo wyborcze do parlamentu. A służyć im będzie od lat 25 nie zaś od 30, jak projektowano początkowo. Liczba członków »fokelthingu« t. j. parlamentu duńskiego, obecnie wynosi 114, lecz może być podniesiona do 132. Trwanie okresu parlamentarnego — z lat trzech zostało przedłużonem do lat czterech. Oparte na przywilejach prawo wyborcze do izby wyższej ma być zniesione, zarówno jak i przywilej osobisty króla, któremu służyło dotychczas prawo mianowania 12 członków izby wyższej. Z ogólnej liczby 66 członków iej instytucyi, 54 ma być wybieranych przez reprezentacye miejskie, owi zaś 54 — mają wybierać pozostałych dwunastu członków.

Nowy prezydent Stanów Zjednoczonych. Prezydentem Stanów Zjednoczonych w Ameryce wybrany został Dr Woodrow Wilson, kandydat stronnictwa demokratycznego. Wybór jego już od kilku miesięcy uchodził za najprawdopodobniejszy wobec rozdwojenia, jakie zapanowało w obozie republikańskim i doprowadziło do zaciętej walki między dwoma tego obozu kandydatami: Rooseveltem i Taftem. Przez wybór Wilsona dochodzi znowu demokratyczne stronnictwo do władzy, którą utraciło przed 16 laty. Ostatnim demokratycznym prezydentem Unii był Cleveland, wybrany po raz pierwszy w r. 1884 i ponownie w r. 1893. W r. 1906 przyszli do steru republikanie, przeprowadzając wybór Mac Kinleya. Po zamordowaniu Mac Kinleya prezydentem Unii został Roosevelt, wybierany na tę godność dwa razy z rzędu, następcą Roosevelta był dawniejszy jego sojusznik, obecny przeciwnik, William Taft. Wilson w obozie demokratycznym jest przedstawicielem t. zw. postępowców.

KRONIKA.

Kto jeszcze nie nadesłał prenumeraty na 1913 r., niechże nie zwłóczy z nadesłaniem jej, gdyż obecnie mamy więcej czasu do przygotowania opasek na następny rok i do rozsyłki Kalendarza. Wcześniejsza wysyłka prenumeraty jest dla nas dogodniejszą a Czytelnikom nie sprawia wielkiej trudności. Prosimy również gorąco o jednanie nowych prenumeratorów.

(W. L.) **Nagły zgon.** Nagłą śmiercią zmarł dnia 3 b. m. wieśniak Franciszek Bator we wsi Gwoźnicy dolnej, w powiecie strzyżowskim, który tego dnia był jeszcze przy dobrem zdrowiu. Zmarły liczył około 50 lat.

(J. S.) **Śniegi i mrozy.** Z powiatu tarnobrzeskiego piszą nam: Jakby na dopełnienie klęski tegorocznej, spowodowanej ciągłą słotą, przyszła wczesna zima ze śniegiem i mrozem, który dość grubym, białym całunem pokrył ziemię. Co nie przepadło w polu wskutek słoty, zniszczył obecnie mróz.

Elektryczność i złodziej. W pewną niedzielę przyjechał do Lwowa z żoną gospodarz ze wsi Żółtaniec, niejaki Jan Adamowicz. Przechodząc jedną z ulic, spostrzegł tłum ludzi. Zaciekawiony tem, zbliżył się i tu spostrzegł jakiegoś jegomościa, który za cenę 4 halerzy, elektryzował ludzi aparatem elektrycznym. Podobała się ta zabawa Adamowiczowi, więc po wręczeniu należytości, chwycił oburącz za bieguny, trzymał je długo, choć prąd wykręcał mu ręce, a podniecały go w tem przedsięwzięciu okrzyki podziwu zebranej wokoło gawiedzi. Wszakże to tak miło zasługiwać na podziw tłumu! Więc Adamowicz podnosił głowę wysoko i minę miał wesołą, a publiczność z uznaniem witała jego produkcye. Skończył — rzęsiste brawa posypały się wokoło.



Adamowicz ręką chwycił się mimowolnie za kieszeń i zbladł. Chwila słodkiego szczęścia kosztowała go 50 koron. Obejrzał się wokoło i spostrzegł pugilares w rękach jakiegoś człowieka, stojącego w grupie. Był to ten sam, który najgoręcej oklaskiwał Adamowicza i najgorętsze wyrazy podziwu rzucał pod jego adresem — znany policyi, sprytny złodziej kieszonkowy. Policya złodzieja aresztowała a Adamowicz odebrał swoje pieniądze.

„Drużyny Bartoszowe“, odbyły sympatyczne stowarzyszenia włościańskie drugi swój zjazd we Lwowie w tamtejszej sali ratuszowej. Dotąd istnieje 70 związków w całym kraju, najwięcej w Galicyi wschodniej; liczą one 3520 członków. Drużyny powstały głównie na pasie wzdłuż Podkarpacia od Kołomyi do Sanoka; zawiązują się także w Galicyi zachodniej. Celem ich jest strzeżenie ducha narodowego po wsiach, zakładanie biblioteki i straży po-

żarnych, urządzanie przedstawień amatorskich i chórów. Drużyny Bartoszowe, budzące z uśpienia lud polski we wschodniej Galicyi i broniące go od wynarodowienia, stały się w krótkim czasie solą w oku radykałów ukraińskich. Jak podniesiono w sprawozdaniu: »posypały się na Drużyny kamienie hajdamackie i rozpoczęły się napady, a wszystkie były czynione po nocy, z za płota, gdy przez obcą wieś Drużyna przechodząc lub przejeżdżając, obronę miała utrudnioną. Napadnięto na Drużynę w Strachocinie, w Prusicku, w Swaryczowie i w Petlikowcach. Lecz skutku nie osiągnięto. Drużyny te w większym jeszcze niż przedtem pracują zapałem«.

Drużyny zorganizowały w roku zeszłym 97 obchodów narodowych, 70 przedstawień i 49 zabaw; wydają pisemko tygodniowe »Dzwon«, jako organ Rady naczelnej. Na zjazd przybyło 150 delegatów; większość w rogatywkach i z szarfami biało-czerwonemi w pasie; niektórzy mieli osobne mundury, używane przez członków Drużyn. Delegaci wysłuchali nabożeństwa w kościele OO. Karmelitów, poczem w pochodzie udali się do sali ratuszowej, gdzie oczekiwali ich prezes Rady narodowej Tadeusz Cieński i reprezentanci związku »Sokołów«. Zjazd otworzył główny naczelnik p. W. Dajczak; potem przemawiali pp. Tadeusz Cieński, Dr Adam i Dr Dziędzielewicz. Dłuższą dyskusyę wywołało sprawozdanie Rady naczelnej, następnie referaty o wzorowej Drużynie i o domach drużynowych. Powzięto również kilka uchwał w sprawach drużyny; wreszcie wybrano Radę naczelną i nadzorczą.

Klęska rolnicza. Z Bocheńskiego piszą nam: Klęska, jaka nawiedziła w tym roku rolników, da się także odczuć i w roku następnym. Nieustanne deszcze od początku września do końca października nie pozwoliły na przysposobienie roli pod zasiewy. Od końca października i dotąd, z małymi bardzo wyjątkami, niewiele zasiano ozimin. I tak: gospodarz, co wysiewa 10—15 korcy oziminy, zasiał korzec lub dwa najwięcej i w mokrą ziemię, a względnie rzucił ziarno w błoto, z którego dotąd nie wschodzi z braku słońca i ciepła. Są też tacy, co dotąd nic nie zasiali, znaczna część ziemniaków jeszcze nie wykopana, a te, co wybrano z błota i podczas deszczów, zaczynają się psuć. Potrawy pokoszone pogniły i już niezdolne na paszę gniją albo w kopach lub na pokosach, a w połowie stoją nie pokoszone; tak samo buraki zmarzły i w ten sposób przepadła pasza na przezimowanie bydła. Rolnicy, widząc taki brak paszy, wysprzedają bydło i trzodę, wskutek czego bydło potaniało bardzo. I tak krowę kupioną w lecie za 300 koron, obecnie sprzedają po 140—160 kor. Wszystko to powoduje, iż zboże pójdzie w cenie w górę, zwłaszcza owies i jęczmień, gdyż nie zasiane na zimę pola muszą być obsiane jarem zbożem na wiosnę; nie wynagrodzi to jednak zimowych zasiewów. Nie wesoła więc przyszłość czeka nietylko rolnika, ale mieszkańców miast, gdyż wobec tego drożyzna się wzmoże.

(W. L.) **Wielki pożar.** We wsi Przysietnicy, w powiecie brzozowskim, wybuchł dnia 4 b. m. nad ranem groźny ogień. Pastwą płomieni padło siedm domów mieszkalnych i 2 stodoły, napełnione plonami. Szkoda jest olbrzymia i w nieznacznej tylko części ubezpieczona. Ludzie dotknięci pożarem, zostali bez dachu i chleba.

(J. K,) **Pożar.** Dnia 29 października wybuchł w Busku, na przedmieściu Niemiecki Bok, pożar w stajni gospodarza Klera, który zniszczywszy mu wszystkie budynki gospodarskie, przerzucił się na obejście sąsiada Pikulskiego, obracając w popiół jego zabudowania. — Dzięki usilnej pracy tutejszej straży pożarnej pod naczelnictwem dzielnego p. Grońskiego, ogień nie przeniósł się na sąsiednie zagrody. Przyczyną pożaru było zostawienie zaświeconej latarki w stajni na słomie. Czas już naprawdę nauczyć się obchodzić ze światłem i nie bagatelizować go sobie. Budynki były ubezpieczone, zaś mieszczące się w nich tegoroczne zbiory — nie.

(J. K.) **Pożar składu jaj.** Przy końcu października powstał w Busku, na przedmieściu Grobla, pożar w składzie jaj, spowodowany nieumiejętnem obchodzeniem się ze światłem. Zgorzał cały budynek wraz z zapasami jaj, których wartość wynosiła kilkanaście tysięcy koron, a które niebawem miały odejść do Hamburga, aby tam Niemcy, pomimo kosztów przewozu, płacili za nie o wiele mniej, aniżeli my, którzy dajemy za parę 18 halerzy. Pisząc o tym pożarze nadmienić muszę, że uraga to wszelkim uczuciom religijnym i katolickim, by w czasie pożaru zamiast ratować bliźniego, okradać go jeszcze z tego, czego żywioł nie zniszczył. A niestety, właśnie podczas tego ognia widziano jednostki, wynoszące koszykami zupełnie spokojnie jaja ze składu, by je w domu zużyć.

(J. K.) **Podejrzenie o szpiegostwo.** Rosya, chcąc się zapewne zmierzyć kiedyś z Austryą, wysyła do Galicyi ludzi, którym porucza wysadzanie prochowni i zbadanie wszelkich urządzeń wojskowych w naszym kraju. We Lwowie siedzi obecnie prawie sześćdziesiąt osób, posądzonych o szpiegostwo. Nic też więc dziwnego, że jeśli w obecnych czasach spostrzeże gdzie żandarm jakiegoś malarza, szukającego widoków wśród gór lub amatora fotografa, robiącego dla swej przyjemności różne zdjęcia, bierze go za szpiega, aresztuje i dopiero po szczegółowych badaniach wypuszcza się go na wolność, stwierdziwwszy jego niewinność. Podczas pożaru w Busku w dniu 29 października zjawił się przy ogniu człowiek zupełnie nieznany, w ubraniu strażackiem, który począł się mieszać do czynności strażackich, a kiedy następnego dnia począł zbierać pieniądze na stemple — zresztą całkiem słusznie — aresztowano go jako szpiega. Nie przebywał jednak długo w więzieniu, gdyż wkrótce okazało się, że był to delegat straży pożarnej, wysłany ze Lwowa do Buska. Ostrożność jest zawsze dobrą — trzeba jednak zważać, ażeby nie była przesadną.

Trup na dachu wagonu. Jazda kolejowa za darmo ma wielu zwolenników nietylko w Rosyi, gdzie stała się bardzo częsta. Lecz jazda taka połączona jest z niebezpieczeństwem życia, a niejednokrotnie kończy się nieszczęśliwie. Niedawno temu znaleziono na dworcu zachodnim w Wiedniu na dachu jednego z wagonów pociągu paryskiego zwłoki z rozbitą czaszką.



Jak się później okazało, był to malarz Bela Hampshel, który na dachu wagonu odbywał podróż

z Paryża do Węgier. Nie ulega wątpliwości, że nieszczęśliwy przy wjeździe do jednego z tuneli uderzył głową o mur i znalazł śmierć na miejscu.

Dom polski w Bielsku. Piszą nam: Domowi polskiemu w Bielsku zagraża po raz wtóry w tym roku poważne niebezpieczeństwo. Niemcy wypowiedzieli mu znów pożyczkę w kwocie 25.000 koron, która to kwota musi być zebraną do końca bieżącego roku, jeśli dom nie ma przejść w ręce niemieckie. Dom polski w Bielsku, to ważna narodowa placówka, broniąca kilkutysięczną rzeszę robotniczą w Białej i Bielsku przed wynarodowieniem, której dopomódz i obronić przed upadkiem powinno całe społeczeństwo bez różnicy przekonań politycznych. Dom polski obejmuje dziś dwa domy: jeden nabyty przez ś. p. ks. Stojałowskiego w roku 1902 i nowo zakupiony w r. 1912 przez »Spółkę ochrony i pomocy narodowej«. Przedstawiają one wartość 120.000 koron. Ciążące na nich długi wynoszą 72.000 koron. Dochody roczne na miejscu dochodzą zaledwie do 5528 kor., a konieczne wydatki 5410 koron, tak, że na amortyzacyę długów pozostaje zaledwie 48 kor. Bez pomocy więc całego społeczeństwa ludność miejscowa nie zdoła go uratować. Dla obmyślenia środków ratunku odbyło się dnia 2[illegible] października nadzwyczajne walne zgromadzenie pod przewodnictwem prezesa dyr. Steina, na którem zebrani robotnicy, niezależnie od akcyi wydziału, zmierzającej do tego, aby jedna z krajowych instytucyj finansowych przejęła zobowiązania Domu, postanowili opodatkować się na rzecz Domu i agitować, aby jak największa ich liczba zapisywała się na członków »Spółki«. Jest to pocieszający i godny uznania dowód poczucia narodowego u robotników polskich w Bielsku.

Milionowa wygrana. Przy ciągnieniu loteryi klasowej w Budapeszcie zdarzył się wypadek niezwykły. Oto na jeden i ten sam los padła główna wygrana w kwocie 400 000 koron, oraz premium w kwocie 600 000 koron. Szczęśliwy więc posiadacz losu zagarnął okrągły milion koron.

Niebezpieczna czapka. Do pewnego obywatela z W. Ks. Poznańskiego, przejeżdżającego przez Drezno, który miał na głowie rogatywkę, na dworcu kolejowym przystąpił policyant, domagając się zdjęcia czapki. Kiedy obywatel nie chciał tego uczynić, policyant zapisał sobie jego nazwisko i pouczył dokładnie właściciela rogatywki, jak wielką zbrodnię popełnił, mając na głowie polską czapkę.

Ilość stacyi lotniczych wojskowych w Niemczech ma być w najbliższym czasie znacznie powiększoną, przyczem ilość żołnierzy przeznaczonych do celów lotnictwa, zostanie pomnożoną przez odkomenderowanie dwóch szeregów żołnierzy z rozmaitych gatunków broni. W ten sposób zarząd wojskowy uniknie konieczności wstawienia do najbliższego budżetu nowej pozycyi wydatków na powiększenie oddziałów lotniczych. Oprócz istniejących już stacyj lotniczych na zachodniej granicy w Strassburgu, Metzu i Darmsztadzie, będzie utworzoną jeszcze jedna w Kolonii, na wschodniej zaś granicy stacye lotnicze zostaną utworzone: w Królewcu, Poznaniu i Wrocławiu.

Bandytyzm w Częstochowie. Pisma warszawskie donoszą z Częstochowy o pewnym bezczelnym opryszku, który, przebrawszy się za strażnika, rewidował i okradał robotników. Wieczorem, gdy robotnicy z częstochowskiej fabryki Motte'ów opuszczali bramę fabryczną, rzekomy stażnik ziemski zatrzymał wychodzących i rozpoczął rewizyę. Jeden z robotników nie podobał się samozwańczemu rewidentowi, który oświadczył mu, iż jest aresztowany. W ślad za strażnikiem ruszyli robotnicy, lecz strażnik odwrócił się, nakazał idącym stać i dał w tłum, ze 100 przeszło ludzi złożony, kilka strzałów. Kule raniły robotnika Idziego Kubakowskiego i robotnicę Krawczykównę. Wobec tego wezwano strażników fabrycznych, lecz przed ich przybyciem przebrany bandyta zbiegł.

Macoch chory. Z Piotrkowa donoszą, że przesiadujący w więzieniu Damazy Macoch nagle zachorował bardzo poważnie. — Macocha przewieziono z więzienia do szpitala. Proces, który wyznaczony jest na 19 listopada, prawdopodobnie zostanie odroczony.

Kajdany i policya warszawska. Wobec wydanego świeżo przez rosyjski główny zarząd więzienny rozporządzenia, wzbraniającego nakładania kajdan osobom, które nie ukończyły 17 roku życia, interesujące jest — piszą gazety warszawskie — jak wobec tego okólnika zachowa się policya warszawska, która przy każdej sposobności nakłada kajdany na ręce zatrzymywanych na ulicach dzieci i już przyzwyczaiła publiczność do widoku skutych ze sobą dwóch 10-letnich lub 12-letnich malców, prowadzonych do cyrkułu. Każdy z uliczników warszawskich w ciągu roku po kilkanaście razy paraduje po ulicach miasta w kajdanach, które zagranicą stosowane są tylko względem stwierdzonych zbrodniarzy i skazańców, pozbawionych praw obywatelskich.

Klęska rolna na Podlasiu. Z Siedlec donoszą do pism warszawskich: Bez przerwy padające deszcze uniemożliwiły na Podlasiu kopanie roślin okopowych. W wielu majątkach pozostaje jeszcze połowa ziemniaków do wykopania. Rozmiękła rola uniemożliwia wyjazd w pola. Ceny robotnika podniosły się znacznie. Uszkodzone przez przymrozki ziemniaki zaczynają się psuć w kopcach. Oziminy z powodu zimna wyglądają źle i nie rosną; deszcze w czasie zasiewów nie pozwoliły wykonać ich prawidłowo, w wielu zaś miejscach obszar obsiewanych zwykle ozimin zmniejszono w tym roku.

Pierwsza lotniczka. Już przed 120 laty znalazła się nieustraszona dama, która z zimną krwią,



jako pierwsza przedstawicielka swej płci, odważyła się wzlecieć balonem! Była to Paryżanka, która wraz ze swym mężem wzniosła się balonem. — Wzlot nastąpił z Paryża, wobec tysięcznych tłumów zgromadzonej publiczności.

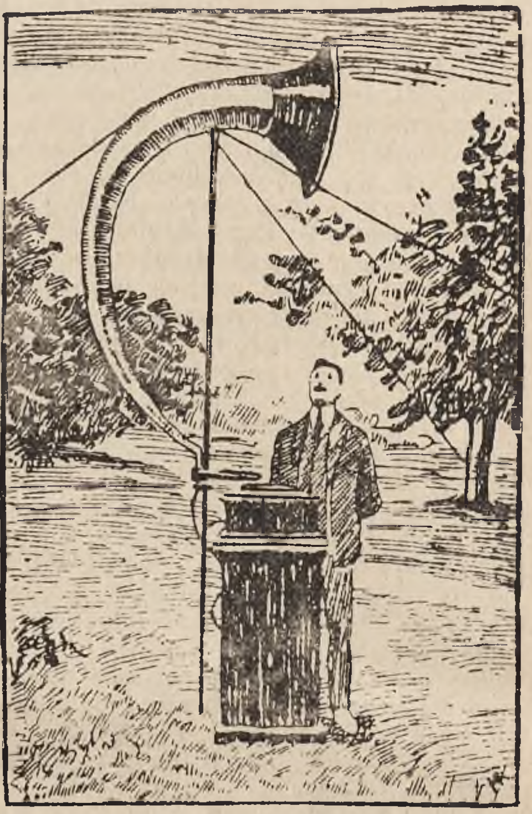
Gdy balon wzniósł się szybko ponad dachy i wieże Paryża, lotniczka wypuściła z klatki gołębie pocztowe. Niestety, ta pierwsza wyprawa kobiety w sfery napowietrzne zakończyła się nieszczęśliwie. Gwałtowny wiatr, który się zerwał, uniósł balon nad morze i oboje małżonkowie zginęli w falach.

Straszny obraz pobitej armii. Cała armia turecka raczej pełza niżeli ucieka. Straszne przejścia zdziesiątkowały ją. Droga usłana jest trupami i umie-

rającymi, za strażą tylną ciągną całe chmury wron i kruków, ich krakanie jest przerażające. Setki zdziczałych psów, zwabione zapachem trupim, ściągły zdaleka na straszne pobojowisko. Wycie ich słychać całą noc. Na drodze do Czataldży leżą nadjedzone zwłoki koni, które niedawno musiały zginąć. Nieszczęsny jest los żołnierzy, którzy umierając padają na tej drodze... Uciekające wojska są pożałowania godne. W nocy widzą w każdym wroga, nieraz też strzelają wzajem do siebie. Żołnierze mają podeszwy całkiem zdarte i idą boso. Podziwu godne jest, co żołnierz turecki w ciągu ostatnich dni musiał znieść. Głodny, pojony widokiem ciągłych klęsk, a zawsze gotów mimo to na śmierć, szedł w jej objęcia bez skargi. Całymi dniami nie miał pożywienia, nie protestował, nie narzekał, ale jeżeli już dłużej iść nie mógł naprzód, kładł się na drodze i umierał bez słowa skargi. Zwycięzcy pobili wprawdzie armię turecką, ale nie zwyciężyli żołnierza tureckiego. Gdyby miał odpowiednie kierownictwo, pożywienie i obchodzenie się, byłby może zwyciężył.

Okrucieństwa Turków i Arnautów. Urzędownie stwierdzono, że Turcy, cofając się przed gwałtownym naporem armii bałkańskich, zarówno bułgarskiej i serbskiej, jak i greckiej, mordują ludność w miejscowościach, które opuszczają, a wioski i miasta palą. W wielu takich miejscowościach Turcy przywiązywali bezbronnych starców do drzew i podpalali pod nimi ognie. Wojska, ścigające Turków, znajdowały wiele takich zwęglonych już zwłok nieszczęśliwych. Mężczyzn młodszych i silniejszych Turcy gwałtem stawiają przed bitwą w pierwszych szeregach, a w odwrocie zaprzęgają ich do wozów. Większą jeszcze może dzikością odznaczają się Albańczycy, zwani po turecku Arnautami, walczący po stronie tureckiej. Po szpitalach, wziętych do niewoli a ranionych Arnautów muszą pilnować straże, gdyż często znajdują u nich pod pościelą noże i rewolwery. Ale i to nie pomaga. Gdy lekarz serbski zbliżył się do rannego Albańczyka i schylił się, aby mu opatrzyć ranę, Albańczyk dobył skrycie rewolweru, strzelił do swego dobroczyńcy i zranił go. Gdy lekarz z Belgradu, Dr Materny, po bitwie pod Kumanową opatrywał ranionego Arnautę, ten usiłował przebić lekarza nożem. Dr Materny zdołał się usunąć nieco i otrzymał lekką tylko ranę, tak, że mógł pozostać na polu bitwy. Podoficer serbski, który widział tę zwierzęcość, zastrzelił Albańczyka ze swego rewolweru. Inny Albańczyk został ujęty na miejscu spełnionej przez siebie ohydnej zbrodni: zamordował młodą kobietę z dwojgiem dzieci, a przedtem nieszczęśliwej matce obciął piersi. Schwycony na gorącym uczynku Albańczyk ukląkł na ziemi, zrobił sobie na czole znak krzyża palcami, umoczonemi we krwi zabitej kobiety i błagał o litość. Ale to mu nie pomogło. Rezerwista serbski roztrzaskał mu głowę kolbą karabinu, nie chcąc — jak mówił — marnować kuli dla podłego zbójcy. W pewnym szpitalu leżał rezerwista serbski, raniony w nogę. Opowiadał on, że gdy podczas bitwy biegł z karabinem w ręku naprzód obok ranionego Arnauty, ten chwycił go zębami za łydkę, jak wściekły pies i wyrwał mu kawał mięsa. Gdy rezerwista upadł, Arnauta śmiał się szatańsko. Albańczycy, leżący w szpitalach wojskowych serbskich, przyjmują pożywienie wtedy tylko, gdy wpierw spróbują go dozorczynie. Obawiają się, że chcą ich wytruć. Jedna z pań Czerwonego Krzyża niosła obok ranionego Arnauty szklankę mleka dla innego chorego. Gdy Arnauta spostrzegł, że pani owa mleko kosztowała, wyrwał jej z rąk szklankę i mleko duszkiem wypił. Wielu żołnierzy, należących do Czerwonego Krzyża, opowiada, że ranni Albańczycy strzelają do nich z rewolwerów, skoro tylko oni zbliżą się do nich. Jeden Albańczyk na żołnierza, który chciał go opatrzyć, rzucił się z bagnetem. Turcy także nie robią sobie ceremonii z Czerwonym Krzyżem. W wielu miejscowościach oddziały Czerwonego Krzyża zasypywali kulami.

Trąba niosąca daleko głos. Wynalazczość ludzka nie spoczywa ani na chwilę. Niema prawie tygodnia, w którym by gazety nie donosiły o najrozmaitszych wynalazkach z różnych dziedzin. Niektóre z nowych wynalazków okazują się niepraktycznymi w użyciu. Stopniowo jednak w ciągu lat następcy pierwszego wynalazcy ulepszają jego dzieło, tak, że w końcu zdaje się doskonałem i oddaje znamienite usługi.



Przed laty nikt nie marzył n. p. o telefonach, samochodach i samolotach jako rzeczach możliwych do urzeczywistnienia — dziś mówi się na dziesiątki mil i buja w powietrzu. Pewien inżynier angielski wynalazł trąbę dalekonośną, która głos niesie na 2 kilometry. Jest to przyrząd nader pomysłowo zbudowany. Przedstawia go powyższy obrazek.

Uparta narzeczona. W Nowym Jorku, bogaty bankier Morris Holmes, stawał przed ołtarzem jako oblubieniec, z narzeczoną swoją, Elżbietą Blanvell, córką starej rodziny nowojorskiej. Gdy ceremonia ślubna rozpoczęła się i ksiądz wezwał narzeczoną do powtórzenia za nim słów przysięgi małżeńskiej, narzeczona przerwała księdzu i prosiła go, aby opuścił słowa o »posłuszeństwie«. Przeciw temu zaprotestował narzeczony, oświadczając, że nigdy nie zaślubi żony, która nie chce być posłuszną. Ksiądz zaczął narzeczoną namawiać, krewni usiłowali pośredniczyć, ale wszystko nadaremnie. Panna Blanvell wybuchnęła płaczem i zaklinała narzeczonego, aby ją zwolnił z tego »surowego przykazania«, ten jednak był niewzruszony. Skończyło się na tem, że całe towarzystwo opuściło kościół, a narzeczeni, rozgoryczeni, rozeszli się.

Ofiara dla nauki. W Ameryce z wielką trudnością dostać można zwłoki do obdukcyi, gdyż nawet w publicznych zakładach wolno ich użyć w celach naukowych jedynie za zezwoleniem rodziny zmarłego, albo też na mocy zarządzenia władzy. — Ażeby więc uzyskać materyał do obdukcyi, niejednokrotnie już różni lekarze amerykańscy i inne osoby rozporządzali za życia swemi zwłokami. Zbiorowe w tym względzie postanowienie powzięło obec-

nie grono lekarzy zamieszkałych w mieście w Brooklynie. Stowarzyszenie wszystkich tamtejszych lekarzy, liczące przeszło 200 członków, zapisało w testamencie swoje zwłoki do obdukcyi na cele naukowe.

Jaka będzie zima? Według dawnych zapisków, pewne podobieństwo z rokiem bieżącym wykazuje rok 1739, bo i wówczas sierpień był niezwykle chłodny, poczem, w przeciwieństwie do roku bieżącego, we wrześniu nastąpiła pogoda, w październiku zaś powtórna i tak gwałtowna zmiana ciepłoty, że listopad stał na równi z zimowymi miesiącami. Grudzień stał się natomiast względnie znośny, a w styczniu i lutym 1740 roku panowały t. zw. rosyjskie mrozy. Oczywiście powrót tak niezwykłej zimy i teraz jest możliwy. Lecz prawdopodobieństwo takiego powrotu jest bardzo małe. Ostrej zimy nie mieliśmy od r. 1890/91, a ostatnie ostre zimy przypadały na lata 1894/95 i 1900—1901. Że bieżąca zima przynajmniej w pierwszej połowie może być ostra, przemawia ta okoliczność, iż od maja mieliśmy bardzo mało światła słonecznego. Ubytek światła słonecznego w maju wynosił 32 godzin, w czerwcu 41, w lipcu 26, w sierpniu 56, a we wrześniu aż 99 godzin! Gdyby więc zima miała tę stratę powetować, musiałaby być zimna, ponieważ słoneczna pogoda w zimie jest przeważnie wynikiem trwałego, wysokiego ciśnienia, które znowu sprzyja oziębieniu powietrza przez promieniowanie ciepła. Ponieważ zaś od maja nietylko stale było pochmurno, lecz także niezwykle zimno, zachodzi więc prawdopodobieństwo, że takie wyrównanie światła słonecznego nastąpi już wcześniej i że doczekamy się łagodnej, słonecznej, późnej jesieni. Szczególnie listopad, który od 1907 do 1909 był zimny, w roku 1910 normalny, a w roku 1911 ciepły — może jeszcze być ciepły. Zeszłoroczna zima, która nastąpiła po ciepłem, późnem lecie i wczesnej jesieni, była w styczniu przez blisko dwa tygodnie ostrą, w grudniu i lutym zaś bardzo łagodną. Jest więc prawdopodobne, że nadchodząca zima, którą poprzedziło zimne, późne lato i wczesna jesień, w istocie będzie miała całkiem inny przebieg.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Władysław Sioło w K.: »Śpiewka Kundy« to rzeczywiście historya stara, jak świat a jednak odnawiająca się ciągle. Tragedyi takich — nieznanych często nikomu — tysiące. Dziękujemy. Szczerze jesteśmy wdzięczni za zjednywanie prenumeratorów — większa ich liczba da nam możność ciągłego ulepszania »Roli«, gdyż zasadą nasza jest: pieniądze otrzymane od czytelników obracać na ich własną korzyść. Prosimy o dalszą pamięć. — Stach z Mazowsza: Rzecz nadesłana zawiera myśl głębszą a opracowanie niezłe. Wydrukujemy, prosimy jednak poprzednio o podanie swego nazwiska wyłącznie dla użytku Redakcyi. — Prenumerator »Roli« w Wadowie: Farbiarnia »Tęcza«, Kraków, ul. św. Sebastyana. Niech się Pan wprost porozumi. — Józef Oleksiak: Dziękujemy za życzliwość. Dobre słowo też dużo znaczy a co się teraz nie dało zrobić, może później się uda. Codziennem taniem pismem są »Nowiny«, Kraków, ul. św. Gertrudy 10, a kosztują miesięcznie 1 K. 50 h. — tańszego niema. Tej gazetki, o którą Pan pyta nie warto prenumerować, gdyż prawdy z niej trudno się dowiedzieć. — Stanisław Bieszczad w C.: Cieszy nas bardzo, że Pan tak ukochał »Rolę«, a cieszy nas dlatego, że my całą duszę w pracę nad nią wkładamy. — Jan Działo w H.: Sprawę polepszenia bytu organistów uważamy zupełnie za słuszną, tembardziej że ceny wszystkiego idą w górę a pobory organistów nietylko się nie zwiększają, ale owszem zmniejszają. Nikt też zaprzeczyć nie może, iż organistowie pierwsi, gdy jeszcze szkół nie było takich, jak dziś, nieśli oświatę wśród lud. Co do reszty listu nie przyznajemy zupełnie Panu słuszności, bo zamiaru tego nigdy nie było. Żart zostaje zawsze żartem i niczem więcej. Pismo, które Pan nazywa poważnem, nie jest niem wcale a więcej przynosi społeczeństwu szkody aniżeli korzyści. — Marya Prajerówna w L. M.: Utwory Pani będą drukowane. Kalendarz dla nieprenumeratorów kosztuje 1 K. 20 h. Fotografia została zniszczona. — Michał Mikoś w H.: Za nadesłane prace serdecznie dziękujemy. — Z. J. z Zakliczyna: Rozwiązania wierszem z powodu braku miejsca nie mogliśmy umieścić. — Aleksander Święch w B.: Za tak miłe dla nas słowa uznania i zachęty serdecznie dziękujemy, jak również za pochwały dla Maćka. Maciek, wytykając i ośmieszając wady ludzkie, zachęca ich zarazem do czytania, jak to Pan słusznie w swym liście stwierdza. — Jan Małkowicz w G.: Gdy będzie więcej miejsca, zaczniemy i Pańskie prace drukować. Obecnie wojna pochłania wiele miejsca. — Jantek z Bugaja: Będziemy starali się dać w ciągu listopada. Za nadesłane rzeczy serdecznie dziękuję, jak również za pozdrowienia. Łączymy przyjacielski uścisk dłoni. — Władysław Łukasik w Z.: Wiersze obecnie nadesłane, jak i poprzednie, dobre; nie możemy jednak życzeniu Pańskiemu zadość uczynić i zaraz je drukować. Wierszy przychodzi tygodniowo kilkanaście a my drukujemy w numerze jeden lub dwa, reszta musi czekać wolnego miejsca. Mimo to przecież będziemy się starali wnet je umieszczać. — Karol Dyrda w Z.: Na życzenie wyrażone na czeku redakcya nie odpowiedziała, gdyż czek powędrował do administracyi, gdzie zapewne wśród wielu innych spoczywa. W sprawach redakcyjnych najlepiej więc pisać na osobnych kartkach, nie razem ze sprawami administracyjnemi. — Piotr Lipowiak w L.: Dokończenie artykułu otrzymaliśmy. Jest on nieco zadługi, więc musi poczekać na więcej miejsca. Prosimy o krótsze. — Kazimierz Drzewicki w N.: Za życzliwość i pochwały dla Kalendarza serdecznie dziękujemy. — Józef Kobylański w C.: Za przesyłkę serdeczne dzieki. — Jan Łatko w W.: Życzymy nawzajem Błogosławieństwa Bożego! — Jan Banaś z P.: Tego rodzaju ogłoszeń umieszczać nie możemy — wpisaliśmy 50 hal. na prenumeratę. — Jan Zięba z S.: Prenumeratę przyjmujemy tylko kwartalnie, a więc od października. Antoni Stoszko z P.: Kalendarze otrzymują obecnie prenumeratorowie całoroczni. — Andrzej Panek z L.: Reklamacyę pisze się na kartce papieru, jest wolną od opłaty pocztowej. — Izydor Spisak z R.: Numera zaginione może Pan otrzymać. — Józef Namysłowski w B.: Wyjątkowo dla Pana — dobrze. — Zofia Grybosiówna w B.: Numer wysyłamy, nie straci Pani nic z Rozbitków z Balonu, skoro się tak podobają. — Franciszek Głód w S.: Proszę przysłać markami, nie opłaci się wysyłać za pobraniem. — Michał Legimowicz z M.: Należy się 50 hal. — Jan Olszowy w M.: Prenumerata liczy się od października. — Walenty Jabłoński w K. Za uznanie dla »Roli« i pochwały dla Kalendarza dziękujemy.

Potwierdzenia prenumeraty.

Kwartalną prenumeratę nadesłali PP.: Michał Bargiel z S., Błażej Kurek z G., Jan Olszowy z M., Piotr Ożóg z K., Marcin Wiśniowski z Z., Jan Koza z S., Franciszek Szypuła z C., Józef Gurgul z D.

Oprócz tego nadesłali PP.: Wincenty Gaździcki z H. 2 K., Wojciech Kieszek z G. 2 K., Jan Kołodziejczyk z B. 2 K., Stanisł. Lorek z B. 2 K., Kazimierz Sołtys z J. 2 26 K.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 12 listopada:

Pszenica	Kor.	10·90	do	11·35	za 50 kg.
Żyto	„	9·95	„	10·35	„
Jęczmień	„	9.70	„	10·10	„
Owies	„	9·75	„	10·25	„
Otręby pszenne	„	6·65	„	6·75	„
Otręby żytnie	„	6·40	„	6·60	

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 12 listopada:

Buhaje	Kor.	100	do	300	za sztukę
Woły	„	360	„	400	„
Krowy	„	120	„	360	„
Jałówki	„	90	„	200	„
Cielęta	„	30	„	76	„
Owce i kozy	„	16	„	30	„
Świnie bita waga)	„	152	„	168	za 50 kg.

Za zmianę adresu należy się 40 halerzy.

Zagadki do nagrody.

1. KWADRAT MAGICZNY.

(Ułożył Józef Kobylański).

a	a	a	a	Inaczej odmiana.
a	a	b	b	Dzielny jeździec.
e	e	l	l	Inaczej pokoje.
r	r	s	s	Osoba biblijna.

2. ZAGADKA.

(Ułożył Jan Wielopolski).

Gmach to jest duży, domem nazwany.
Wystawiony z drzewa lub murowany,
Właściciel liczy raz mniej raz więcej,
A może ich być kilka tysięcy.
Twórca zaś jego jest niewidomy,
On tylko miewa podobne domy,
Muzyka w nim gra lecz nie tańcują,
Niech czytelnicy go odgadują.

3. SZARADA.

(Ułożył Kazimierz Drzewicki).

Pierwsze coś jak niby urok znaczy.
Pierwsze drugie jest w rozpaczy,
Trz cie czwarte to wyżyna,
Bo dolina ja przerzyna.
Całość, kraj dziś wojujacy,
Coś skorzystać chęć majacy,
J śli Turka w tył wyszturka,
Będzie sęk a w sęku dziurka.

4. SZARADA.

(Ułożyła B. Moroniówna).

Zwierzę leśne samo pierwsze,
A zaimek drugie,
Rzeka obca jest zaś trzecie,
Całość czas, dość długi.

5. SZARADA.

(Ułożył Wojciech Lubas).

Pierwsza i druga, barwę tę znacie,
Drugiej i trzeciej w kłopocie wzywacie.
Razem, rzecz to dobrze znana,
I tu w »Roli« powtarzana.

6. SZARADA.

(Ułożył Jan Małkowicz).

Pierwsze z początku to będzie uczta,
Druga: samotny, druga pusta,
Całość używa, kto ma rozsądek,
By się nie popsuł jego żołądek.

7. SZARADA.

(Ułożył Jan Małkowicz).

Pierwsza znajdziesz w liter rzędzie,
Druga trzecia przy wystrzale będzie,
Druga z czwartem drobiem będzie.
Całość u starszych znajdziesz prawie wszędzie.

8. SZARADA.

(Ułożył Mateusz Zięba).

Pierwszy był czczony w pogańskie czasy,
Gdy jedli pili wino, frykasy,
Drugim Pan Bóg karze ludzi, wioski, kraje,
Drzewa, domy, lasy oraz urodzaje.
Całość będzie miasto około Dunaju,
Znajdziesz go na mapie pewnie w serbskim [kraju.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 23 listopada 1912 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z numeru 44 »Roli«: 1. Kwadraty magiczne: 1) **Krok, Rawa, owca, Kaal;** 2) **Srul, rura, Ural, lala.** 2. Szarada: **Napoleon.** 3. Szarada: **Kołomyja.** 4. Szarada: **Andaluzya.** 5. Zagadka: **Kossak.** 6. 6. Zagadka rachunkowa: **20 cieląt, 30 gęsi.** 7. Szarada: **Lekkość.**

* * *

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali PP.: Adela Bezokówna z K. M., Franciszek Zydroń z D., Wincenty Cechowy z P., Franciszek Guzik z G., Walenty Miśniak z P., Jan Czaja z M., Jan Małkowicz z G., Adam Warchoł z Z., Z. J. z Zakliczyna (wierszem), Józef Adamczyk z W. S., Franciszek Szajter z O., Marya Łucyk z M., Henryk Kempny z R., Jędrysik z O., Józef Huk z D., Franciszek Markiewicz z S., Piotr Lipowiak z L., Wojciech Lubas z G., Wojciech Moroń z Ł., Czytelnia T S.L. z W., Juroszek Paweł z I., Kazimierz Szeliga z B.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Zwycięzcy*** wylosował **Jan Czaja** z M., zaś drugą p. t. ***Wybór pism Konopnickiej*** p. **Marya Łucyk** z M.

Wydawca: Stanisław Kopernicki. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bazzara
Drukarnia „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.